Miesięcznie 1 zł. 1 egz. 30 groszy.
prenumeratę przyjmuje każda poczta

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok IV. Niedziela, dnia 6 października 1936 r. Nr. 36



Niezapomniana piosenka

Istnieje w życiu naszem piosenka,
Której się nigdy nie zapomina
I na dźwięk, której serca nam miękną
I dziwnie drżą — to piosnka matczyna.

Tyle w niej czaru i tyle w niej piękna,
Że choć-żeś smutny — znów promiejesz
I znów się czujesz dzieckiem maleńkiem,
A świat wokoło ci błękitnieje...

Ilekroć zorze złociste gasły
I sen zamykał twoje oczęta,
Ponad swą głową słyszałeś jasne:
„Śpij, maleńki, mój — że ty" — pamiętasz?...

Daremnie tęsknisz dzisiaj i płaczesz,
Za tą piosenką w świecie jedyną,
Co już nie wróci... próżno rozpaczasz!...
Dziś — pieśnią twoją — tęsknot godziny.

Nie dali więcej ci ludzie słońca,
Ni szczęścia — sława, zachwyty tłumu,
Gdy ci zabrakło piosnki gorącej,
Tej z poddasza... rozumiem... rozumiem!..:

Marja Zemmlerówna.

9)

Skarby Chana Mugańskiego

Powieść sensacyjna *Tłum. Jerzy Laskowski*

Osobiście, absolutnie nie mogę sobie wyobrazić dumnego Chana w roli niewolnika kobiety, handlującej sobą. Jeśli, z konieczności, mogę podejrzewać pierwsze, to drugie absolutnie odpada... Zanadto już jest to nieprawdopodobne, dziwaczne...

— Więc gdzież jest klucz do tej strasznej tajemnicy? — ze smutkiem na swej pięknej twarzy zapytała Mar - Molli.

— Gdzie? Pani wie, że O'Donnel za wielkie pieniądze postawił na nogi całą prywatną policję Nowej Kartaginy. Zrobił absolutnie wszystko, aby trafić na ślady Chana i... żadnych rezultatów... Mam wrażenie, że „klucz" znajduje się u Gafaniego.

— U Gafaniego? Cóż to — zazdrość?

— Podwójna! Zazdrość samca i zazdrość, że Chan go zaćmił pod każdym względem I w danym wypadku są też dwa „albo:. Albo Gafani zdradziecko zabił Chana, mógł, — Manija zastanowiła się — albo korzystnie go sprzedał.

— Komu?

— Chociażby rządowi Mursji, jako wrogiego generała, który zniszczył jej armję... To pierwsze podejrzenie, które przeleciało przez moją głowę, jest podejrzeniem detektywa — dyletantki. Tu jest wszystko tak poplątane, pełne takich tajemnic... Szerlok Holmes i Pinkerton opuściliby bezradnie ręce...

— Więc cóż robić? Ja kocham go, kocham żywego, czy martwego! Co począć? — z błaganiem dopytywała się Węgierka.

Manija zastanowiła się ponownie, wpatrując się w przestrzeń szaro - zielonemi oczyma, przedłużonemi ołówkiem. Przedłużone brwi dodawały jej djabelskiego wyrazu.

— Moja rada, moja rada: proszę być opanowaną! Trzeba nałożyć maskę wobec wszystkich i wobec Gafaniego. Trzeba stać się lwicą, zdobywać serca, tańczyć, bawić się, kokietować... I w stosunku do Gafaniego — też, tak, do niego też! Trzeba dać mu nadzieję. Gdy uwierzy w tę nadzieję, uwierzy, że pani zapomniała o Ammalacie i wtedy, kto wie, może czemś się zdradzi...

— To, co pani proponuje — jest straszne! Grać komedję, z Gafanim, który wzbudza we mnie fizyczny wstręt. Same jego ręce...

— Pani jest zbyt wymagająca, moja droga. Bezwątpienia, przyjemniej jest flirtować z mężczyzną, który podoba się i który ma ręce, jak na portretach van Loo i Reinoldsa. Ale gra jest warta świec! Proszę nałożyć maskę! Przecież pani jest aktorką i to aktorką o wielkim talencie!

Co chciał zrobić Donkunda?

Gafani rozkoszował się.

Życie na transatlantyku, z jego rozkoszami, wyszukaną kuchnią, towarzystwem miljonerów, z łatwością zawierania znajomości, było jego życiem.

Do obiadu przebierał się w smoking, a na wieczór we frak. Tańczył i wlewał w siebie coctail za coctailem w pięknym barze, jakiego nigdzie się nie spotka na twardej ziemi, ani z racji luksusowego wykończenia, ani spowodu różnorodności trunków.

Teraz zawierał znajomości z większą łatwością, jak kiedyindziej, zajmując stanowisko do pozazdroszczenia: gwiazdor trupy kinowej, która stała w centrum zainteresowań całego okrętu.

Zawarł przyjaźń ze „świńskim królem", wysokim, wypasionym Gonzalesem. Zwłaszcza senjora Gonzales była zachwycona Gafanim, a on był zachwycony jej brylantami.

Zdążył wypić na „ty" z królem konserw Viljegasem, pięknym i gibkim, jak modny tancerz „gigolo".

Ci południowo - amerykańscy miljonerzy szukali w Gafanim pośrednika.

Gonzales prosił:

— Niech pan da do zrozumienia Maniji d'Or, że ja... słowem, jeśli ona zechce, kupię jej w Paryżu willę. Złożę na jej imię wielką sumę... Słowem — pan mnie rozumie...

Aczkolwiek Gonzales nie był zbyt wymowny, jednak można było zrozumieć.

On poraz pierwszy jechał do Paryża i poraz pierwszy znajdował się w tak błyszczącem towarzystwie, jak tu przy wspólnym stole, jak i w salach koncertowych i balowych.

Gafani był dla niego wzorem dobrego tonu.

Gonzales uczył się u niego pokryjomu sztuki ubierania się oraz dobierania i wiązania krawatów.

Gafani „ćwiczył" go w modnych tańcach i w dobrych manierach; w tym celu zamykali się w apartamentach Gonzalesa.

Pani Gonzales miała swój osobny apartament.

A Viljegas błagał:

— Proszę jej powiedzieć, proszę jej powiedzieć, że zakochany jestem w niej od pierwszego wejrzenia... Proszę jej powiedzieć, że pozostaje mi jedno z dwuch: albo położyć siebie u jej stóp, swoje imię i wszystko, co mam, albo... zastrzelić się u jej nóg. Proszę powiedzieć tej królowej, Mar-Molli, że jej modre oczy prześladują mnie bezustannie dniem i nocą... Proszę jej powiedzieć....

Gafani wysłuchiwał tych młodocianych bredni, blednąc ze złości, ale z zachęcającym uśmiechem. On nietylko powtórzy wszystko dokładnie, ale będzie nawet gorącym adwokatem Viljegasa. Czyż można odmówić w czemkolwiekbądź właścicielowi studziestupięciu miljonów?

W stosunku do Gonzalesa, awanturnik działał więcej, aniżeli sumiennie. Tańcząc z Maniją, dotykając kolanami jej kolan, Gafani szeptał, jak demon-kusiciel:

— Manija, teraz, albo nigdy! Proszę łapać swoje szczęście, jak bajecznego ptaka za ogon. Gonzales gotów jest rozwieść się ze swoją megerą i ożenić się z panią. Takie wypadki zdarzają się rzadko nawet w karjerze takich „wampów", jak pani...

— Ależ nie mam zamiaru wychodzić zamąż!

— To proszę żyć z nim tak!

— Gafani, jak się okazuje pan jest pozatem jeszcze „stręczycielem"?!

— Jakto „pozatem"? Nikt nie może powiedzieć o mnie czegoś takiego... Moja opinja, jak i żona Cezara, jest poza granicami wszelkich podejrzeń.

— Pan sądzi, że opinja Messaliny była też poza wszelkiemi podejrzeniami?

— Manija, pani się zapomina!

— Gafani, rzuć pan to! Nudne to jest! A co się tyczy Gonzalesa — to ja nie potrzebuję pośredników! Jeśli zechcę, wezmę go sama, nie zechcę — to nawet pana przekonywująca wymowa nie pomoże.

Na tem się skończyło. „Wamp" umiał sam za siebie mówić...

Gonzalesowi zaś Gafani powiedział:

— Długo się wahała, ale udało mi się dzięki mojemu wpływowi, przekonać ją wkońcu. Moja dobra rada doświadczonego Don-Juana: Nie atakować, nie odstraszyć... Więcej światowego taktu — a powodzenie pewne. Te gwiazdy są strasznie kapryśne, przesycone, rozpieszczone...

Viljegasowi zrobił nadzieję bardziej nieuchwytną, zamazaną, ale w każdym razie — zrobił.

Jak wschodni dyplomata, który nigdy nie powie „nie", lecz zawsze jest wszystkoobiecujący. I nie można było inaczej: przy końcu podróży on pożyczy u każdego „króla" jakąś setkę tysięcy pezo. Pieniądze zawsze się przydadzą, nawet przy półmiljonie, otrzymanym od Eskobedy. A gdyby do tego dodać

przynajmniej część brylantów senjory Gonzales... Zczasem można będzie je ofiarować Mar-Molli, gdyby zmieniła gniew na łaskę... Musi przecież kiedyś do licha zapomnieć o swoim azjatyckim księciu. Umarli nie rozkazują, rozkazują żywi...

* * *

Donkunda razem z szoferami, mechanikami i służbą zajmował drugą klasę. Dlatego też Gafani, ku wielkiej swej radości, rzadziej aniżeli w obozie, spotykał się ze strasznym Senegalczykiem. Na statku Donkunda tylko raz na dzień dowiadywał się do pierwszej klasy u O'Donnela.

Od samego początku murzyn nie lubił Gafaniego. Rzucał na niego zabójcze spojrzenia i omal nie zadusił go podczas zdjęć. Ale po zniknięciu Ammałata stosunek ten przeszedł w ostateczną nienawiść.

Gafani, zwłaszcza wieczorami, nie wychodził z namiotu bez rewolweru i, widząc Donkundę, a spodziewając się napadu, był gotów do obrony.

Na okręcie Gafani był wolny od Senegalczyka i jego zabójczych spojrzeń. Po pierwsze i otoczenie było zupełnie inne, aniżeli na pustyni, a po drugie na terenie pierwszej klasy Donkunda był rzadkim i przelotnym gościem. Na „Goji“ dostęp do pierwszej klasy dla pasażerów drugiej klasy był wogóle zakazany, ale dla sług O'Donnela robiono wyjątek. A prócz tego, Donkunda za swój herkulesowy wygląd i siłę stał się ogólnym ulubieńcem, począwszy od kapitana i kończąc na ostatnim boy'u.

Tego wieczoru już o dwunastej godzinie O'Donnel wezwał do siebie Donkundę. Główny dyrektor przeziębił sobie plecy i bok. To sprawiło mu ostry ból i tylko masaż Senegalczyka przynosił mu ulgę. O'Donnel wiedział o tem jeszcze ze swoich doświadczeń reumatycznych na froncie pod Salonikami.

Sposoby Donkundy nie miały nic wspólnego ze sposobami europejskich masażystów. Oni nacierają swoich pacjentów, gniotą, jak ciasto, Donkunda zaś uderzał palcami w ciało, jak pianista w klawisze. I, o dziwo, dotyk Donkundy był bardzo miękki. A przecież te palce rwały miedziane monety i podwójne talje kart.

Donkunda skończył masaż.

O'Donnel zapłonął orzeźwiającym, życiodajnym ogniem. Nic już nie bolało, nigdzie już nie kłuło.

Donkunda wyszedł z kabiny dyrektora na pusty pokład.

Nie było amatorów ani amatorek do zachwycania się nocnym oceanem. Wszyscy byli tam na dole, skąd dochodziły dźwięki orkiestry i gdzie kilku barmenów w białych smokingach ledwo mogło nadążyć w mięszaniu owych mocnych coctailów.

Donkunda minął jakiegoś samotnego pasażera, który drzemał na leżaku, nie zauważywszy go.

Uwagę Senegalczyka pochłonął cień mężczyzny we fraku. Oparty o poręcze ów mężczyzna patrzał przed siebie. To był Gafani. Na dancingu umówił się z senjorą Gonzales, że wyjdzie pierwszy na pokład, a po kilku minutach ona wyjdzie za nim.

Miłość do Mar-Molli nie przeszkodziła mu wziąć w obroty „świńską królowę“.

Senegalczyk bezszelestnie podkradł się do Gafaniego.

Zaraz na poczekaniu w półmroku Donkunda jakoś dziwnie przeistoczył się w ogromne, niebezpieczne zwierzę, gotowe do skoku na swoją ofiarę. Nawet cywilne ubranie nie łagodziło tego wrażenia.

Jeszcze moment i Senegalczyk, chwyciwszy silnie Gafaniego i nie dając chwili na opamiętanie się i krzyk, rzuciłby go do oceanu w paszcze żarłocznych rekinów, które zżarłyby awanturnika razem z jego pięknie skrojonym frakiem.

Ale los szczędził Gafaniego. Los w osobie grubego Benau. To on na leżaku półdrzemał i półmyślał o czemś z dziedziny swojego zawodu. Donkunda, który omal, że nie zawadził o drzemiącego Benau, wydał mu się zrazu jakiemś przywidzeniem. Chcąc się przekonać, Benau uniósł się i... zdrętwiał. To, co ujrzał w odległości kilku kroków nie pozostawiało żadnych wątpliwości. Zaraz Donkunda rzuci Gafaniego do wody.

Benau zerwał się na równe nogi i krzyknął:

— Co ty chcesz zrobić, nicponiu!?

To przestraszyło i Donkundę i Gafaniego.

Odwróciwszy się tylko i zobaczywszy Senegalczyka, Gafani zrozumiał wszystko, osłupiał i zapomniał o swoim rewolwerze.

Podszedł Benau, który już oprzytomniał po przestrachu.

— Ależ kanalja z ciebie, Donkunda... Ależ kanalja! Poskarżę się na ciebie panu O'Donnelowi! Chcesz zmarnować naszą pracę! Coby to było, gdybyś utopił pana Gafaniego. Nie moglibyśmy zakończyć naszych zdjęć!

— Musze Benau obrażała Donkunda. Donkunda nie chciała rzucać musze Gafani do woda... Zupełnie nie chciała...

— Opowiadanie! Czemu wałęsasz się po nocy, czemu nie śpisz?

— Donkunda masaż musze O'Donnel... Musze O'Donnel plecy boleć... Donkunda poszła spać... Dobranoc, musze Benau...

Gafani i Benau pozostali sami, patrząc na siebie.

— Co pan powie na to wszystko? — zapytał Gafani drżącym głosem.

— Już powiedziałem: miał pan frunąć do wody. Od tej chwili jest mi pan zobowiązany swojem uratowaniem. Jak pan słyszał, porządnie zbeształem Donkundę.

— Pan drwi sobie ze mnie!

— Drwię? Bynajmniej!

— Pan „zbeształ porządnie“ Donkundę? — Gafani wykrzywił twarz w ironiczny uśmiech. — Pan go dobrodusznie, po ojcowsku skarcił za to, że ten czarny dzikus chciał zabić Europejczyka, białego człowieka!

— Poco zaraz tak dramatycznie?

— Dramatycznie? Dla pana to farsa i nawet nie tragikomiczna... wogóle — nie rozumiem!... Jakiś spisek na mnie. Tak, tak... w przeciwnym wypadku bowiem to dwunożne bydlę nie odważyłoby się tak wyzywająco demonstrować swoich wrogich uczuć wobec mnie.

— Pan jest podejrzliwy, Gafani, podejrzliwy! Żadnego spisku niema, zapewniam pana. A jeśli odnosimy się do pana z pewną, że tak powiem, rezerwą, proszę się nie gniewać, gdyż znamy pana bardzo mało, podczas gdy między sobą zdążyliśmy już zjeść „beczkę soli“... Kto wie, może zczasem i pana pokochamy...

— A jednak Chana Mugańskiego wszyscy pokochaliście odrazu, nie zjadłszy z nim beczki soli!

— Mój drogi! niema prawideł bez wyjątków. Chan był, — jak mi go żal! — owiany jakąś romantyczną aureolą i był nadwyraz czarujący...

— Panie Benau, — przerwał Gafani, — ja proszę pana zupełnie oficjalnie o podanie do wiadomości pana O'Donnela, że z chwilą, gdy ten czarnoskóry goryl podejdzie do mnie chociażby na pięć kroków, ja, zupełnie prawnie, w celu samoobrony, będę strzelał...

— Spokojnie! Donkunda — duże dziecko i, wogóle, dość już tego zdenerwowania.

— Dziękuję za takie dziecko! Jego miejsce na szubienicy. A co do zdenerwowania, pozwolę sobie oświadczyć, że jestem bez nerwów. Powtarzam — będę strzelał! Mam zaszczyt pożegnać pana! Dobrej nocy!

Z zawodową spostrzegawczością Benau zauważył, jak twarz Gafaniego momentalnie zmieniła wyraz z chłodnej i zagniewanej na słodkawo-wyczekującą z wyszczerzonemi zębami, zamiast uśmiechu: Gafani ujrzał madame Gonzales, maleńką, z zadartym nosem i oślepiającemi brylantami pod gronostajowym palantynem.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wśród warjatów

czyli

Upiór zamku Sokolskich

(Romans) 102

„Lecz pan nie wypił jeszcze herbaty", odparła Elżbieta Ravington: „prędko, noc jest chłodna, — pij pan!"

Podniosła filiżankę i podała ją starcowi. Pisarz wypił chciwie herbatę.

Uścisnął jeszcze raz rękę Elżbiety i wyszedł z biura na palcach, obawiając się, by nie spotkał adwokata.

Sprzyjało mu szczęście, — nie zobaczył swojego pryncypała. Wyszedł na ulicę i biegł z całych sił do domu, do łoża umierającego syna.

— — — — — — — —

Elżbieta chwyciła za pióro i zaczęła gorliwie pisać. Nie posługiwała się jednak referatem mecenasa Blacka, lecz układała skargę podług własnego zdania.

Elżbieta skreśliła w tym akcie swoje całe życie. Gdy przyszła do tego epizodu, kiedy wydarto jej podstępnie nazwisko i majątek, opisała baroneta Ralfa jako skończonego łotra i byłego wspólnika, — mecenasa Blacka.

Godziny mijały, a Elżbieta pracowała ciągle. Czynność opanowała zupełnie jej zmysłami. Nagle posłyszała przeraźliwy dźwięk domowego dzwonka. Zerwała się, — jej wzrok padł bezwiednie na zegar, stojący na biurku.

Było pięć minut po dwunastej. Elżbieta chciała wyjść z biura i otworzyć bramę. Lecz nim wyszła na korytarz, posłyszała kroki pani Field, która ją uprzedziła i otworzyła bramę.

„Kto tam?" zapytała podejrzliwie pani Field, trzymając w ręce lampę.

„Proszę darować", odparł jakiś głos, „czy tutaj mieszka pan adwokat Black?"

„Do usług! — Co pan sobie życzy?"

„Posyła mię mój chory wuj", odparł ten sam głos, „który dzisiaj powrócił ze wsi. Wieczorem zachorował i chce przed śmiercią spisać swoją ostatnią wolę."

„Gdzie mieszka ten wuj?"

„W hotelu „Pod białym słoniem".

„Zaczekaj pan chwilkę", rzekła pani Field, „pomówię z adwokatem Blackiem. Zaraz przyniosę panu odpowiedź."

„Niech pani powie Blackowi, że otrzyma sowitą zapłatę. Mój wuj jest bogatym dzierżawcą i ma dużo pieniędzy."

Ostatnie słowa podziałały przekonywająco, gdyż już po kilku minutach powróciła pani Field i wpuściła nieznajomego do sieni. Powiedziała, by czekał: adwokat zjawi się za chwilę.

Pani Field zostawiła lampę w sieni, tak, że Elżbieta mogła się przypatrzyć nieznajomemu.

Był to wysoki mężczyzna, o nieprzyjemnej twarzy. Kapelusz wcisnął na czoło i dlatego nie mogła rozpoznać barwy włosów. Widocznie należał do lepszych sfer, chociaż ubranie nie odznaczało się zbyt wielką elegancją.

Niecierpliwie chodził po sieni, aż wreszcie dały się słyszeć kroki i przed nim stanął adwokat.

Mister Black wdział długi, jasny płaszcz. W ręce trzymał laskę ze złotą gałką, a na głowie miał jak zwykle cylinder.

„Czekasz pan na mnie?" zapytał nieznajomego, — który go uprzejmie pozdrowił. „Gdzie mieszka pański wuj?"

„Pod „białym słoniem"! odparł nieznajomy.

„Pod „białym słoniem?" Hm, ten hotel nie cieszy się wcale dobrą sławą."

„Lecz za to jest tani," rzekł prędko nieznajomy, „i dlatego zajechał tam mój wuj, który oszczędza, gdzie tylko może. Posiada też ładny majątek!"

„Prawdopodobnie zostanie pan jego spadkobiercą, — co?" zapytał Black.

„Oh, są jeszcze inni krewniacy," odparł nieznajomy. „Ach, mój Boże, wczoraj był zupełnie zdrowy. Przed godziną zerwał się z łóżka i zawołał: „Sprowadź lekarza, — umieram!"

„Cóż powiedział lekarz?"

„Niestety potwierdził, że stan chorego jest nadzwyczaj groźny. Wuj słysząc to polecił mi zawołać adwokata celem spisania jego ostatniej woli. Z początku nie wiedzieliśmy co mamy robić. Dopiero właściciel hotelu pod „białym słoniem" zwrócił naszą uwagę na pana mecenasa, jako nadzwyczaj dyskretnego człowieka."

„I nie pomylił się!" odparł Black z uczuciem dumy. „Więc chodźmy. — Idź pan naprzód, ja zamknę bramę za nami!"

Ciemna zbrodnia

Po chwili Black wyszedł z nieznajomym z domu. — Minęli kilka ulic w City, które o tej porze wyglądały zupełnie jak wymarłe.

Wreszcie weszli na City-street i stanęli przed hotelem. Nieznajomy wyciągnął z kieszeni duży klucz.

„Wziąłem od gospodarza klucz od bramy, byśmy nie potrzebowali go budzić. Proszę panie adwokacie."

Nieznajomy, wymawiając te słowa, otworzył bramę i wpuścił adwokata Blacka do sieni.

Bezwiednie ujął silniej laskę, wiedział bowiem, że „biały słoń" jest znanym hotelem. Zwykle mieszkały tutaj różne podejrzane indywidua.

Od wszelkiego wypadku mieścił się w lasce ostry sztylet.

Nieznajomy prowadził adwokata po schodach, wysłanych dywanami, na drugie piętro, prosząc równocześnie, by się zachowywał jak najciszej.

Wreszcie zatrzymał się przed drzwiami i otworzył je. Black wszedł do pokoju.

Na łóżku, stojącym pod oknem, leżał stary mężczyzna. Było widać, że cierpiał strasznie, gdyż cała twarz wykrzywiła się z bólu. Zapadnięte oblicze zdobiła długa, siwa broda.

„Dzięki Bogu, żyje!" zawołał stroskany krewniak. „Obawiałem się, że go może nie zastaniemy przy życiu. — Wuju," — rzekł, zwracając się do chorego, — „przyprowadziłem ci pana Blacka, słynnego adwokata z City. Powiedz mu swoją ostatnią wolę."

Chory pochylił głowę i westchnął głośno, jakby go dręczyły straszne cierpienia.



Urocza artystka filmowa Liane Haid święci tryumfy w najnowszym swoim filmie pod tytułem: „Bez pocałunku nie można iść spać!"

„Panie adwokacie, proszę zdjąć płaszcz i kapelusz," zauważył nieznajomy."

Black zobaczył dopiero teraz, że ten mężczyzna miał rude włosy.

Adwokat zdjął kapelusz i wręczył go z kapeluszem rudowłosemu. Lecz gdy chciał mu wyjąć z ręki laskę, zawołał:

„Proszę zostawić, — cierpię na podagrę i jestem zmuszony wspierać się na lasce. Wogóle zrobiłem wielkie poświęcenie, że wyszedłem z domu o tak późnej porze. Spodziewam się otrzymać za to sowite wynagrodzenie."

„Pan adwokat będzie zupełnie zadowolony," zapewnił rudowłosy. „Proszę, niech pan będzie łaskaw zbliżyć się do łóżka. Mój wuj mówi nadzwyczaj cicho i dlatego musi się pan pochylić nad nim, bo inaczej trudno go zrozumieć."

„Może to jaka zaraźliwa choroba?" zapytał Black i spojrzał niespokojnie na chorego.

„Broń Boże! Wada serca! Przysunę teraz stolik do łóżka i przygotuję pióro, papier i atrament."

Adwokat zbliżył się do chorego, pochylił się nad nim i zapytał:

„Jak się pan nazywa?"

„Aerving Godwin," brzmiała cicha odpowiedź chorego.

„Mister Godwin, jesteś pan zupełnie przytomny?" badał Black, „rozumie mnie pan? Przedewszystkiem muszę mieć tę pewność, że pan znajduje się przy zdrowym rozsądku. W przeciwnym razie nie mógłbym pisać ostatniej woli!"

Chory wyszeptał kilka niezrozumiałych słów.

„Rzeczywiście mówi nadzwyczaj cicho," rzekł Black, „nie rozumiem go."

„Proszę się całkowicie pochylić," odparł rudowłosy, — który był zajęty czemś na małym stoliku.

„Rozporządza pan wszystkiemi siłami ducha?" zapytał powtórnie Black.

Równocześnie pochylił się nad chorym, który wprawdzie poruszył wargami, lecz nie można było słyszeć ani jednego słowa.

„Niech mu pan krzyknie nad uszami," radził troskliwy krewniak.

„Mister Godwin, wie pan, kto do pana mówi?" zapytał Black. „Niech mi pan

powie do ucha, czem się zajmuję?"

Black pochylił się do tego stopnia, że jego uszy dotknęły wargi starego mężczyzny.

W tej samej chwili chory wyciągnął z pod kołdry swoje chude, kościste ręce i objął go za szyję żelaznym uściskiem.

Adwokat chciał wołać o pomoc. W tej sekundzie nie zauważył jeszcze pułapki, w którą go zwabiono i był najmocniej przekonany, że chory znajduje się w gorączce.

Nie mógł jednak wydobyć żadnego dźwięku, gdyż ręce chorego trzymały go silnie za gardło.

Black chciał się zerwać i wyjąć stalowy sztylet, — napróżno.

„Uduś go!" posłyszał Black cichy głos za sobą; — „uważaj, by nie krzyknął! Przyniosę zaraz młotek. Za chwilę skończymy całą komedję!"

Adwokat Black wiedział, że teraz nadeszła jego ostatnia godzina. Przejęty śmiertelną trwogą, próbował wyrwać się z żelaznych objęć i uniknąć strasznego losu, — wtem zabójcze uderzenie trafiło go w głowę.

Black stracił przytomność. Drugie uderzenie rozłupało jego czaszkę, tak, że mózg wytrysnął na pościel. Adwokat upadł na kolana.

W walce ze śmiercią wyprężył jeszcze kilka razy ciało i osunął się na podłogę jak zabity kogut. Teraz dopiero ręce chorego zsunęły się z szyi adwokata. Z ust zamordowanego wydobyło się przeraźliwe chrapanie.

Stary mężczyzna wyskoczył z łóżka. Pochylił się nad umierającym i obserwował uważnie szklany wyraz oczu adwokata.

„Umarł?" zapytał rudowłosy, chowając równocześnie młotek do kieszeni. „Spełniłem dobrze moje zadanie?"

„Wyśmienicie!" odparł stary, „sądzę, że baronet będzie zadowolony. Przeszukajmy kieszenie adwokata. — Może znajdziemy jaką małą sumkę. Ralf Ravington nie weźmie nam tego za złe. Przeciwnie nasza zbrodnia będzie wyglądała na rabunek, i nikt nie wpadnie na to, że mister Black zginął tylko z tego powodu, ponieważ odgrażał się Ralfowi Ravingtonowi."

Obydwaj złoczyńcy, — nie potrzebujemy wspominać, że to był doktor Morizano i jego wspólnik Alfred Robber, rzucili się na trupa i przeszukali wszystkie kieszenie.

Rzeczywiście spełniły się ich nadzieje, gdyż w jednej kieszeni znaleźli dziesięć funtów w banknotach i portmonetkę z drobnymi monetami.

Prócz tego zabrali złoty zegarek z łańcuszkiem i szpilkę wysadzaną brylantami.

„Cudownie", rzekł Morizano. „Licząc razem z nagrodą, którą otrzymamy od baroneta, możemy być zadowoleni z wynikiem tej nocy. — Robberze, schowajmy teraz trupa pod łóżko i uciekajmy czemprędzej, bo za ścianą zauważyłem podejrzany szmer."

„Schowałeś młotek?" zapytał Morizano swojego wspólnika. „Uważaj, byśmy go nie zgubili. — Prędko, wdziewaj kamaszki i w drogę!"



W Danji odbyły się ostatnio zaręczyny pomiędzy księżniczką Aleksandrą Ludwiką, wnuczką króla duńskiego, z niemieckim księciem Luitpoldem Alfredem Fryderykiem Karolem.

Mordercy wdziali szybko obuwie, ponieważ w pokoju chodzili tylko w skarpetkach, by nie robić hałasu. Doktor Morizano oglądnął się następnie uważnie po pokoju. Nie zauważył jednak nic takiego, coby mogło zdradzić jego ślady.

„Obyśmy tylko nikogo nie spotkali", rzekł po chwili do Robbera.

„Nie bój się!" odparł rudowłosy, „umyślnie wybrałem ten hotel na spełnienie naszego czynu. Właściciel jest członkiem jednego stowarzyszenia, które obchodzi dzisiaj rocznicę swojego założenia. Dlatego też niema go w domu. Portjer nie śpi koło schodów, lecz w pokoju, którego okno wychodzi na podwórze. — Lepiej nie mogło się złożyć, zwłaszcza, żem pokryjomu postarał się o klucz od bramy. Przygotowaliśmy wyśmienicie tę zbrodnię, mój drogi przyjacielu. Wątpię, by nas odkryto. — Wprawdzie jutro znajdą trupa Blacka, lecz wszystkie okoliczności, stojące w związku z tajemniczą śmiercią, będą przemawiały za tem, że go w nocy zwabiono do chorego, który chciał spisać testament. W hotelu nikt się nie domyśla naszej bytności, ponieważ zakradliśmy się w nocy i ulokowaliśmy w próżnym pokoju."

Robber i Morizano podnieśli trupa ze ziemi i wrzucili go do łóżka stojącego w rogu pokoju.

Następnie okryli go kołdrą i zgasili lampę, która stała dotychczas na stole i oświecała ponuro miejsce zbrodni.

Głęboka ciemność okryła obydwóch morderców, zdążających ku drzwiom.

„Uważaj!" szepnął Morizano do swojego towarzysza, „ach chciałbym być już na ulicy i wydostać się z tego przeklętego hotelu."

„Nie bój się. Wszystkie drzwi nasmarowałem oliwą. Ah, do djabła, co to znaczy?"

Morizano przeraził się, posłyszawszy te słowa swojego wspólnika.

„Co się stało?" zapytał drżącym głosem, „co się stało, — nieszczęście?"

„Wielkie nieszczęście!" odparł głucho Alfred Robber, którego twarz okryła się trupią bladością, — jesteśmy — zamknięci!"

„Zamknięci? Zwarjowałeś?" zawołał Morizano półgłosem, — „to niemożliwe! Przecież wyjąłeś klucz od drzwi!"

„Naturalnie! Lecz podczas gdyśmy się załatwiali tutaj z tym adwokatem, ktoś zamknął drzwi z zewnątrz."

„Spróbuj jeszcze raz!"

„Nie da się!" odparł Robber, „djabeł musiał się wdać w tę sprawę, — słowem, drzwi się nie ruszają."

„Może nas obserwowano?" zapytał Morizano po chwili strasznego milczenia.

Alfred nie miał czasu odpowiedzieć, gdyż nagle na schodach rozległ się straszny krzyk, który zmroził złoczyńcom krew w żyłach.

„Morderstwo, — morderstwo!" wołał jakiś głos, — „wstawajcie, — wstawajcie wszyscy! W tym domu popełniono straszną zbrodnię!"

„Jesteśmy zgubieni", syknął Morizano i zatoczył się na środek pokoju. „Robberze, błaźnie, źle obmyślałeś twój plan. Bodaj cię zaraza pożarła, — wtrąciłeś mię w nieszczęście! Teraz, — nie unikniemy szubienicy!"

„Naturalnie", odparł Robber i stanął przed doktorem Morizano, „jak się coś nie powiedzie, to zawsze wina spada na drugiego! Jeżeli się nie wyratujemy, — to obydwaj damy głowę katu. — Cóż to takiego strasznego? Wcześniej, czy później, raz trzeba umrzeć."

„Łotrze, stoisz na żołdzie policyjnym!" zawołał Morizano, „nie może być inaczej! Psie, zwabiłeś mię w pułapkę!"

„Haha!“ zaśmiał się drwiąco Robber, „straciłeś zmysły? Mówisz jak pijany. Zamiast pomyśleć o ratunku, obwiniasz mię o zdradę. Przy tem zachowujesz się jak stara baba! — Niech cię djabli wezmą! Nie mam wcale ochoty umierać. Może mi się udą ucieczka!“

„Uciekać?“ zawołał Morizano, „lecz którędy? — Ach, gdyby można ucieknąć!“

„Zobaczymy“, odparł Robber i przyskoczył do okna, „pozostaje nam tylko ta droga.“

Morizano zbliżył się do okna i spojrzał nadół. — Przed nim roztwierała się ciemna przepaść, ponieważ pokój znajdował się na drugiem piętrze.

„Nadół?“ szepnął Morizano; — „nigdy! To pewna śmierć!“

„Więc daj się powiesić! Zaryzykuję skok“, odparł Robber. „Może mi się uda ocalić życie i uniknąć szubienicy.“

„Morderstwo, — morderstwo!“ wołał równocześnie ten sam głos na schodach. „Na pomoc! — W tym domu znajdują się zbrodniarze! — Znam ich nazwiska, — doktor Morizano i jego wspólnik Alfred Robber!“

„Słyszysz, — nasze nazwiska?“ jęknął Morizano, „poznali nas! — Kto to może być?“

„Djabli musieliby mię obdarzyć głuchotą,“ zawołał Robber, „gdybym nie poznał głosu hrabiego Zygmunta Sokolskiego!“

„Zygmunt Sokolski? Ah, w takim razie jesteśmy zgubieni, bo ten człowiek zna naszą całą przeszłość. Trudno, — trzeba zaryzykować skok z drugiego piętra!“

„Nie zapomnij, towarzyszu, i przyrzeknij, że mię nigdy nie zdradzisz!“

„Przecież nie możemy się rozstać“, zauważył Robber, „bo gdy jeden z nas wpadnie w ręce policji, to i drugi musi się także dostać do więzienia!“

Był najwyższy czas na zdecydowanie się do ucieczki, gdyż na korytarzu dały się słyszeć obce kroki.

Cały hotel został zaalarmowany. Większa część gości zerwała się i wybiegła na korytarz.

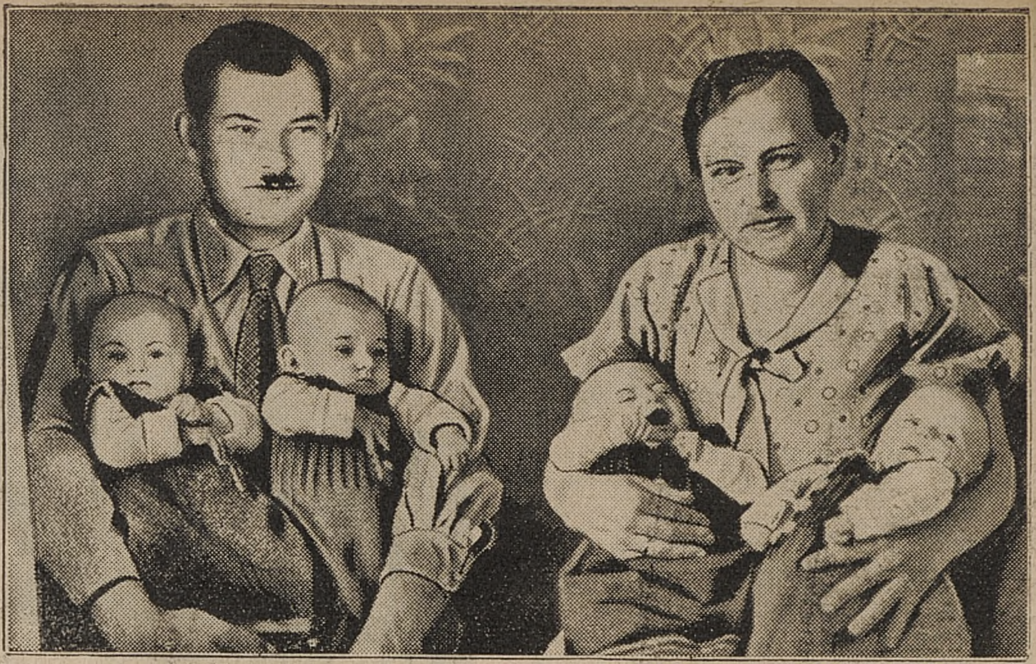
Pani Bohne spieszyła ze służbą na pomoc.

„Znowu obłąkany?“ zawołała gospodyni, która nie mogła sobie wytłumaczyć krzyku Zygmunta i myślała jeszcze ciągle o biednym Albercie, który w podobny sposób zaalarmował jej hotel. — „Dlaczego pan krzyczy? — Nie wie pan o tem, że w nocy nie wolno robić krzyków?“

„W domu pani popełniono morderstwo!“ odparł Zygmunt. „Tam za temi drzwiami zamordowano jakiegoś człowieka. Poznałem morderców po głosie. Tą razą nie ujdą przed ludzką sprawiedliwością!“

„Zbliżają się!“ syknął Morizano do swojego towarzysza, „skręćmy prędko linę z bielizny!“

„Zapóźno!“ odparł Robber. „Szkoda, żeśmy przedtem o tem nie pomyśleli. Lecz jak zwykle mówiłeś głupstwa i oskarżyłeś mię o zdradę! — Teraz nie pozostaje nam nic innego, jak skok na ulicę.“



W jednej z rodzin niemieckich przyszły na świat czworaczki. Radość rodziców jest tem większa, że wszystkie dzieci dotychczas im zmarły.

„Zaczynaj“, zawołał Morizano, „jesteś młodszy. Jeżeli wyjdziesz cało, to pójdę za twoim przykładem.“

„Do djabła, dziękuję ci za takie względy!“ odparł ponuro rudowłosy. „Przedewszystkiem wyścielę ulicę.“

Robber przyskoczył do łóżka, pozbierał wszystkie poduszki i kołdry i wyrzucił przez okno na pustą, ciemną ulicę.

W ten sposób Robber przygotował pod oknami miękkie posłanie. Jeżeli go nie uchroni przed następstwami śmiertelnego skoku, to w każdym razie osłabi upadek.

„Sprowadźcie policję!“ posłyszał Morizano głos pani Bohne, „dalej, naprzód mężczyźni! Kto ma odwagę! Jestem wprawdzie kobietą, lecz nie boję się morderców!“

„Boże, — nadchodzą!“ szepnął Morizano, „skakaj, bo inaczej jesteśmy zgubieni.“

Robber wydrapał się na okno. Do tego stopnia bał się szubienicy, że ani na chwilę nie zawahał się przed spełnieniem tego karkołomnego kroku.

Morizano widział, jak jego ciało przecięło powietrze. W następnej sekundzie posłyszał głuchy łoskot. — Powiodło mu się, — spadł na ulicę i nie poniósł żadnej szkody na ciele.

Pokrwawił sobie tylko ręce. — Lecz czyż to miało jakie znaczenie w porównaniu z niebezpieczeństwem, które groziło mu szubienicą?

Ten czyn dodał Morizanowi odwagi. Zresztą nie miał dużo czasu do namysłu, gdyż słyszał, jak zamek trzeszczał. Nagle otwarły się drzwi. Morizano w śmiertelnej trwodze wyskoczył na okno.

Zrozpaczony spojrzał dokoła, — nigdzie nie było widać ratunku, — pozostawało tylko okno; — musiał zaryzykować skok na ulicę.

I znowu ciało zbrodniarza przecięło powietrze. Morizano stracił jednak równowagę i skrwawiony obił się o bruk uliczny.

„Zabił się?“ — To było jedyne słowo, które wyszeptał rudowłosy, pochyliwszy się nad swoim wspólnikiem.

Morizano żył jeszcze. Otworzył nawet oczy. Lecz krew buchała mu z nosa i ust.

„Podnieś mię“, jęknął, „zabierz mię z tego miejsca. Zdaje mi się, żem złamał stos pacierzowy.“

Alfred Robber nie namyślał się długo. Podniósł doktora i położył go na plecach. Następnie obejrzał się dokoła i zniknął w bocznej uliczce.

CXC.

Przy zwłokach ojca

Tymczasem część gości hotelowych wybiegła na ulicę, szukając za mordercami. Znaleźli jednak tylko ślady krwi, które prowadziły w boczną ulicę.

Tam nie było już widać Robbera, ani jego towarzysza.

Tem bardziej było to niepojęte, gdyż obfity upływ krwi wskazywał najwyraźniej, że przynajmniej jeden ze zbrodniarzy został ciężko raniony.

Nadeszła policja. Przeszukano domy i sąsiednie ulice i pytano przechodniów, czy przypadkiem nie widzieli dwóch mężczyzn uciekających w ową ulicę.

Lecz nikt nie mógł dać odpowiedzi na te pytania. Większa część mieszkańców przebudziła się z powodu krzyków i wołań.

Tymczasem hrabia Zygmunt w towarzystwie licznych gości wszedł do pokoju, w którym spełniono straszną zbrodnię.

Pierwsze odkrycie, które zrobiono, wskazało im naturalną drogę, którą uciekli zbrodniarze. Gdy zapalono lampę, zobaczono dużą kałużę krwi, znajdującą się koło łóżka.

„Więc nie pomyliłem się,“ zawołał wzruszony Zygmunt, „w tym pokoju rozegrał się straszny dramat. Ah, czy tam z pod łóżka nie wystaje ludzka postać? Boże, to ten nieszczęśliwy człowiek, którego zamordowali rabusie. Może trzeba go ratować? Daje jakie znaki życia?“

Lecz wszystkie nadzieje, które żywił jeszcze Zygmunt, pierzchły natychmiast, gdy hrabia zerwał kołdrę z łóżka.

Przed nim leżał strasznie pokaleczony trup, — mężczyzna, któremu rozłupano czaszkę tempem narzędziem. — Twarz przybrała w walce ze śmiercią okrutny wyraz. Krwawe części mózgu leżały dokoła. Usta były szeroko otwarte, a szkliste oczy patrzyły złowrogo.

Wśród zgromadzonych dały się słyszeć okrzyki przerażenia. Ludzie na widok tej sceny zakrywali twarz rękami. Pani Bohne załamała ręce i biadała nad stratą dobrej sławy" swojego hotelu.

Tylko Zygmunt zachował zimną krew i przytomność umysłu.

„Pani Bohne," zawołał, zwracając się do właścicielki hotelu, „kto mieszkał w tym pokoju?"

„Nikt!" odparła pani Bohne, „wiem napewno, że ten pokój był niewynajęty!"

„W takim razie złoczyńcy zakradli się z pomocą podrobionego klucza. Lecz teraz musimy przedewszystkiem stwierdzić osobę zamordowanego. Sądząc z ubrania należy do lepszej sfery. — Panowie, oglądniemy kieszenie ofiary, a może znajdziemy jaki papier, który nas objaśnił o bliższych szczegółach."

Zygmunt w oczach zgromadzonych przeszukał kieszenie zmarłego. Lecz nigdzie nie znalazł ani papierów, ani portfelu; kieszenie były próżne, — wszystko zniknęło.

„Niema co mówić, obrabowali go!" zawołał Zygmunt. „Ludzie tego rodzaju posiadają przynajmniej zegarek. Może dowiemy się czegoś z bielizny."

Zygmunt rozpiął zmarłemu kamizelkę i obserwował znaki bielizny, — na koszuli stało tylko duże B. Z tego nikt nie mógł być mądry.

„Ach, to pan Jeremiasz Krabbe," zahne, „teraz przychodzą nawet ludzie z oficyn! Żeby przynajmniej mój mąż był w domu! W takiej chwili trzeba mieć sto par ócz, by zobaczyć, czy ktoś nie kradnie."

„Pani Bohne, nie jesteśmy złodziejami," zawołał łagodny głos poza plecami właścicielki. „Sądzę, że mnie pani zna za dobrze, bym był zdolny do kradzieży."

„Ach, to pan Jeremjasz Krabbe," zawołała pani Bohne, zwracając się do sędziwego mężczyzny. „Nie, doprawdy nie miałam pana w podejrzeniu. Panie Krabbe, patrz pan jakie nieszczęście! Niedawno temu zabrano od nas jednego warjata, a dzisiaj popełniono znowu morderstwo."

„Morderstwo?" zawołał sędziwy Krabbe, „zapewne w kłótni?"

„Nie, podstępne morderstwo!" odparła pani Bohne, „skrytobójcy zwabili do hotelu nieszczęśliwego mężczyznę. Kto wie, na co go złapali. W tym pokoju spełnili następnie swój zbrodniczy zamiar. Rozłupali mu czaszkę. — Trup leży teraz w łóżku i nikt nie wie, co mamy począć!"

„Mojem zdaniem," zawołał Jeremiasz Krabbe, nie spoglądając na łóżko, „byłoby najlepiej zawezwać policję."



Niezwykłej tajemniczości i uroku nadają krajobrazom wiatraki... Wolniutko i ogromnie równomiernie przesuwają się ich olbrzymie skrzydła po czystem tle nieba — jak dni ludzkiego życia w czasie.

„Właśnie policja śledzi teraz ślady morderców," odparła pani Bohne. „Było ich dwóch. Ten pan zna podobno ich nazwiska. — Jak się powodzi pańskiemu synowi? Zapomniałam spytać się o to. Umarł już?"

„Dzięki Bogu żyje!" rzekł Krabe ze słodkim uśmiechem, „Bóg spełnił cud i wysłuchał moją prośbę. Przed dwoma godzinami wracając do domu szedłem z bijącem sercem po schodach i nie spodziewałem się, że zastanę syna przy życiu. Lecz na progu czekała mnie już rozkoszna niespodzianka. Biedny Albert żył i od kilku tygodni po raz pierwszy spał zupełnie spokojnie.

„Przebudził się tylko za chwilę, podał mi rękę i zapewnił, że mu lepiej. Nie miał gorączki, ale lekarz powiedział mi, że z ustąpieniem gorączki można mieć nadzieję. Naturalnie nie położyłem się lecz usiadłem przy łóżku i postanowiłem czuwać przez całą noc. Nagle posłyszałem straszny wrzask. Zerwałem się i wyglądnąłem przez okno. Na podwórzu stali ludzie i wołali „mordercy — mordercy!" Wobec tego wybiegłem na schody, sądząc, że może będę mógł pomóc."

„Drogi panie," zawołał w tej chwili hrabia Zygmunt, „tutaj nie da się nic zrobić! Nieszczęśliwy wyzionął ducha."

„Strach, co za ludzie żyją na tym świecie," zauważył Jeremiasz Krabbe i zbliżył się do łóżka.

Lecz zaledwie spojrzał na łóżko i zobaczył nieruchome, wyciągnięte zwłoki, gdy nagle zatoczył się z przerażenia. Otwarzył usta, chciał mówić, lecz przestrach dławił go za gardło.

„Co się pani stało?" zawołała pani Bohne, która zauważyła niepokój pisarza. „Nie widział pan jeszcze nigdy trupa?"

„Znam tego zamordowanego," zawołał starzec.

„Ah, pan go zna?" zapytał hrabia Zygmunt Sokolski. Powiedz nam pan jego nazwisko, — trzeba zawiadomić rodzinę!"

„To mój pryncypał," zawołał Jeremiasz Krabbe, — znany adwokat w City, mister Black. O, mój Boże, jak to się stało? Co za nieszczęście! Biedna córka. To straszne, zakończyć w ten sposób życie!"

„Co, zmarły nazywa się mister Black?" zawołała pani Bohne, „znamy go dobrze. Ach, to podwójne dla nas nieszczęście, że ten człowiek został zamordowany w naszym domu!"

„Pracował pan u tego adwokata?" zapytał Zygmunt. „Czem pan był?"

„Do usług, pisarzem," odparł Jeremiasz Krabbe. — Przez czterdzieści lat służyłem mu wiernie. Czasem miewał dziwne humory. Lecz znając kogoś tak długo, — — proszę darować, — że płaczę, — nie mogę jednak pokonać bólu. Przed kilkoma godzinami był jeszcze zupełnie zdrowy, — a teraz leży jako trup! O Boże, niezbadane są twoje drogi! Mister Black, rozmawiając ze mną obojętnie o chorobie mojego syna, nie myślał, że pierwszy wypije gorzką czarę! Któżby to powiedział?"

Stary mężczyzna zapłakał rzewnie.

„Niech mi pan odpowie na kilka pytań", rzekł Zygmunt. „Pozostała po zamordowanym rodzina? — Może był żonaty?"

„Mister Black był wdowcem", odparł Krabbe, „pozostawił jednak córkę, — pannę Maud!"

„Był bogaty?"

„W City uważano go za bogatego człowieka!" brzmiała odpowiedź starego pisarza.

„Miał jakich nieprzyjaciół?"

„Nieprzyjaciół?" — Jeremiasz Krabbe wzruszył ramionami. „Któryż człowiek nie ma wrogów? A zwłaszcza adwokat, który bierze czynny udział w publicznem życiu? Nie wiem jednak, czy go kto nie prześladował."

„O tem dowie się policja", zauważył hrabia Zygmunt, „my zaś mamy teraz smutny obowiązek zawiadomić o nieszczęściu rodzinę względnie córkę zmarłego. Panie Krabbe, chodź pan ze mną! Pójdziemy do mieszkania adwokata Blacka. Zapewne w domu nikt nie przeczuwa tej strasznej zbrodni."

„Ach, będzie to straszną chwila“, rzekł Krabbe, „lecz trudno, — niema innego wyjścia.“

„Trupa zabierzemy ze sobą“, dodał hrabia Zygmunt.

„Ah, właśnie nadchodzi pan komisarz, zapewne sporządzi spis zbrodni.“

Komisarz policyjny wszedł do pokoju w towarzystwie wielu innych urzędników.

Zygmunt opowiedział całe zajście, a komisarz spisywał protokół. Zgodził się na przeprowadzenie zwłok do domu zmarłego.

Po chwili hrabia Sokolski i Jeremiasz Krabbe jechali z trupem do mieszkania Blacka.

Była już drugą godzina; Elżbieta właśnie skończyła swoją robotę.

Chciała zgasić lampę, gdy wtem posłyszała dzwonek.

Wybiegła na korytarz i otworzyła bramę.

Równocześnie stanął przed nią nieznajomy mężczyzna. Za nim było widać postać Jeremiasza Krabbe i dwóch ludzi, którzy trzymali jakiś zawinięty w płótno przedmiot.

„To panna Elżbieta“, rzekł stary Krabbe, „a nie córka adwokata.

„Boże, co się stało?“ zawołała Elżbieta; „pan już wraca? Kogoż tam przyniesiono?“

„Wielkie nieszczęście!“ odparł stary pisarz i zapłakał gorzko. „Oh, mój Boże, co powie panna Maud? Wystaw sobie pani, — zamordowano adwokata!“

„Zamordowano?“ wyszeptała przestraszona Elżbieta, „gdzie popełniono tę zbrodnię?“

„W małym hotelu przy Citystreet!“ brzmiała odpowiedź pisarza. „Mieszkam tam w oficynach. Dlatego pobiegłem na miejsce zbrodni i rozpoznałem pana Blacka. Przedewszystkiem trzeba zawiadomić pannę Maud.“

„Maud nadchodzi!“ szepnęła Elżbieta i spojrzała na schody, po których schodziła urocza postać młodej dziewczyny.

„Cóż to za niepokój?“ zawołała Maud. „Gdzie jest pani Field? Ah, co widzę, — lady Elżbieta? Co robią tutaj ci nieznajomi ludzie? Gdzie jest mój ojciec?“

Maud stanęła w bramie koło ławki, na której złożono trupa Blacka. Zmarły był zasłonięty.

„Pani raczy przebaczyć“, rzekł hrabia Zygmunt, — „żeśmy zakłócili nocny spokój. Niestety przynoszę pani straszną wiadomość! niech się pani przygotuje na wszystko! Oby Bóg pocieszył panią w tej okrutnej chwili.“

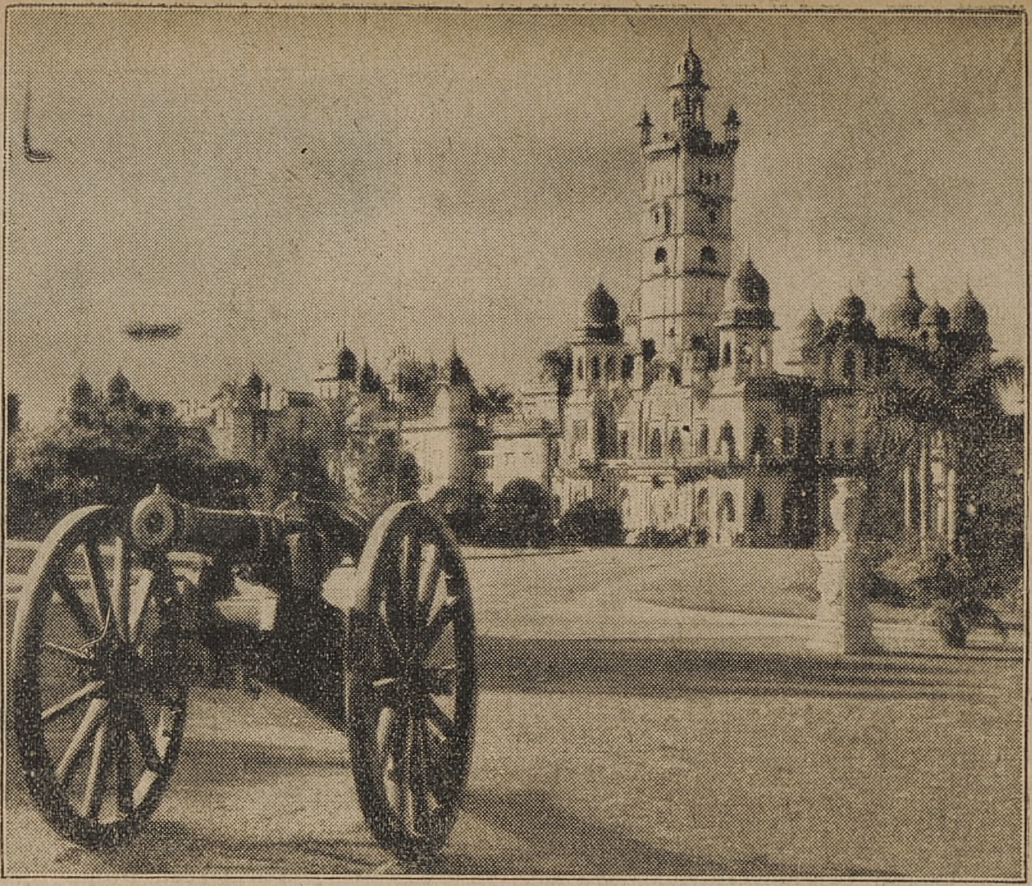
„Panie“, rzekła Maud zdławionym głosem, „co znaczą te słowa? Proszę mówić jaśniej. Gdzie jest mój ojciec?“

Spotkało go nieszczęście“, mówił Zygmunt, „zwabiono go do hotelu pod pozorem spisania testamentu, lecz tam —“

„Zachorował?“ zawołała Maud. „Zachorował? O, przeczucie mówi mi, że mój ojciec —“

„Nie żyje!“ dokończył Zygmunt, widząc, że młoda, nieszczęśliwa dziewczyna nie może mówić.

„Mister Black zginął nienaturalną śmiercią, — został zamordowany!“



Jak z bajki tysiąca i jednej nocy na pierwszy rzut oka wygląda pałac maharadży z Barady.

Równocześnie hrabia Zygmunt wskazał ręką na ławkę.

Teraz, — teraz zrozumiała Maud wszystko.

Wydała bolesny okrzyk i rzuciła się na ławkę.

Zerwała płótno, lecz na widok pokaleczonych zwłok ojca, padła bez zmysłów na ziemię.

Elżbieta z pomocą pani Field zaniosła Maud do pokoju, a służba złożyła zwłoki adwokata w jego sypialni.

Zygmunt i Jeremiasz Krabbe udali się do kancelarji. Po chwili weszła także Elżbieta Ravington.

„Pochwycono morderców?“ zapytała, „są jakie ślady?“

„Dwaj zbrodniarze spełnili ten straszny czyn“, odparł Zygmunt. „Prawdopodobnie przypuszczali, że adwokat nosi przy sobie dużo pieniędzy. Inaczej trudno wytłumaczyć tę zbrodnię. — Niestety obydwaj zbrodniarze ratowali się ucieczką.

„Znam jednak ich nazwiska i spodziewam się, że tą razą nie ujdą bezkarnie. Jeden z nich nazywa się Alfred Robber, — jego wspólnikiem jest doktor Morizano, były właściciel zakładu dla obłąkanych w Londynie!“

Elżbieta, posłyszawszy nazwisko Morizano, wzdrygnęła się na całem ciele.

„Doktor Morizano!“ zawołała drżącym głosem, — „Boże, ten człowiek jest w Londynie? Tak, tylko on popełnił tę zbrodnię. O, Boże, dlaczego wyratowałyśmy go z oceanu?“

„Co, pani zna doktora Morizano?“ zawołał zdziwiony Zygmunt. „Gdzie spotkała pani tego człowieka?“

„Ów łotr“, odparła Elżbieta, powstrzymując z trudem łzy, „prześladował mię ciągle. Mój chciwy kuzyn polecił mu, by mię zamknął w domu warjatów. Na czółnie, które nas wyratowało, była także jedna młoda dama. Ach, Anielciu, któżby pomyślał wówczas, że ratujemy nędznika!“

W tej chwili Zygmunt Sokolski pochwycił Elżbietę za ręce i szepnął stłumionym głosem:

„Właśnie wymówiła pani imię, które jest dla mnie najdroższe na świecie. — Słyszałem imię Anielci. Może przypomina sobie pani nazwisko tej dziewczyny?“

„Anielcia Dubois“, odparła Elżbieta; „Anielcia była moją najlepszą przyjaciółką!“

„Przyjaciółką?“ zawołał Zygmunt, — „Boże, przedemną stoi istota związana przyjacielskim węzłem z moją Anielcią! O, dziękuję pani za te słowa w imieniu mojego dziecka!“

„Pańskiego dziecka, — co pan mówi? Czyżby pan był ojcem Anielci?“

„Jestem hrabią Zygmuntem Sokolskim i ojcem tej, która nazywa się Anielcia Dubois. Gdzie opuściła pani Anielcię? A może pani wiadomem jest obecny pobyt Anielci? Przed panią stoi nieszczęśliwy ojciec, który szuka długo za swem dzieckiem, lecz dotychczas napróżno. Nieubłagany los rozłączył mię z córką!“

„Ach, chętnie powiedziałabym panu hrabiemu miejsce zamieszkania Anielci“, odparła Elżbieta, „lecz niestety sama nie wiem. Ostatni raz widziałam ją w nowym roku, przed odjazdem do Meksyku, gdzie Anielcia otrzymała posadę. Otrzymałam od niej kilka listów, lecz później zwrócono mi pocztą moje listy, pisane do Anielci. Niech pan nie rozpacza. Mam przeczucie, że pan odnajdzie Anielcię.“

„Trudno, nie pozostaje mi nic innego, jak tylko nadzieja“, odpowiedział poważnie Zygmunt. „W Londynie zabawię jeszcze kilka dni, a potem wracam do Niemiec. Czy mogę widzieć się z panią przed odjazdem?“

Ciąg dalszy na str. 659.

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści“ ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofji

BIEG CZASU

Tak to już dawno — przed wielu już laty
tęskniłam o cieniu starych lip — za wszystkiem,
co tchnęło życiem, rozkwitało kwiatem
i szczęście wówczas było mi tak bliskie.
— — — — — — — — —
Życie niejedno spełniło pragnienie.
— Dało mi radość — i smutki — i żale,
i cicne, jasne, słoneczne wspomnienia;
lecz dziś już wszystko to poczyna maleć.

Bo dziś mam w sercu rozdzwonione wiersze
miłość rozkwitłą uśmiechem — i łzami —
i cóż ponadto może być ważniejsze? — —
— Czas jeden tylko, co pędzi przed nami.

Dziś są przede mną ogromne przestrzenie,
pachnące słońca złocistą pogodą
i czas, co pędzi naprzód niestrudzenie,
jak rzeki górskie rwące bystrą wodą.

„Jadźka z Kujaw.“

„POMIMO GORZKICH PRÓB ZAWSZE, ACH ZAWSZE DZIELNĄ BĄDŹ“...

„Powój“. Ucieszyłam się bardzo Pani listem. Po dłuższej przerwie napisała Pani do nas znowu i przyrzeka odtąd pisywać jak najczęściej. Wspaniale! — jestem z tego bardzo zadowolona!

„A teraz, daruj mi, proszę, Miły „Powoju“, że sprawię Ci maleńką burę...

Dlaczego mówisz, Kochanie, o goryczy i starości, kiedy pełnisz tak szlachetne i zaszczytne obowiązki? Pomyśl, że cokolwiek teraz robisz, to robisz za Tą, co już odeszła, a była dla Ciebie zawsze dobrą i słodką. Pomyśl, że zastępujesz Ją obecnie i pełnisz dalej dzieło, które One nie zdążyła do końca wypełnić. Ty zapewnie nie wiesz i nie zdajesz sobie sprawy ile teraz robisz dobrego, nie rozumiesz wartości i doniosłości swego zadania i dlatego prawdopodobnie nie potrafisz uśmiechnąć się w poczuciu zadowolenia z wykonywanego obowiązku.

Co do złośliwości ludzi, mogę Ci służyć tylko jedną radę: przebacz im! Spokojne sumienie i czyste serce, to najważniejsze, a reszta — to już sprawy drugorzędne. Bądź więc spokojną i pogodną — uśmiechnij się, mimo wszystko, do ludzi i życia! „Pomimo gorzkich prób zawsze, ach zawsze dzielną bądź...“

Na zakończenie kilka słówek z Twego długiego liściku:

„Chciałabym nawiązać korespondencję z Sympatyczkami i Sympatykami „Krainy“, aby rozjaśnić i urozmaicić sobie nieco życie. Czy znajdzie się jakaś szczera dusza, która do mnie napisze? Na każdy list przyrzekam dać odpowiedź. Kończę już i zasyłam moc pozdrowień dla wszystkich Przyjaciół „Moich Powieści“.

„JESTEM NIEZMIERNIE ZADOWOLONY Z „MOICH POWIEŚCI“

„Esperantysta z Poznania.“ Miło mi bardzo, zaliczyć Pana w poczet członków naszej ogromnej „Rodziny“, oraz przyjąć do wiadomości, że „Moje Powieści“ podobają się Panu i że pragnie Pan nawiązać z nami ścisły kontakt. Treść listu Pana, nadzwyczaj miłego i sympatycznego, oddaję do przedruku. Może list ten zainteresuje kogoś bliżej?

„Jestem niezmiernie zadowolony z tygodnika „Moje Powieści“, chociaż poznałem go dopiero trzy tygodnie temu. Tęsknię, co sobotę za nowym numerem tygodnika i żałuję bardzo, że nie poznałem go prędzej. Jest on niezwykle ciekawy ze względu na interesujące powieści i „Krainę szczerości i naszych trosk.“

Z „Mojemi Powieściami“ poznałem się zupełnie przypadkowo przez kolegę z Grudziądza, który przybył do mnie i tygodnik ten kupował.

Zainteresowany najwięcej „Krainą“, postanowiłem do niej wstąpić z tą myślą, że pośród miłych Czytelniczek i Czytelników znajdę dobre serce, które obdarzy mnie sympatją i zaufaniem.

Jestem Poznaniakiem, średniego wzrostu, ciemnym blondynem. Będę niewymownie szczęśliwy, jeżeli otrzymam od kogoś list, na który z pewnością odpowiem.

Na zakończenie pozdrawiam jak najserdeczniej — „Smutnego Esperantystę“.

„MOŻE NAPISZESZ DO MNIE, „DANKO“...

„Przedwiośnie“. „Poradź mi, Zosieńko, w jaki sposób zrobić optymistą, człowieka patrzącego z ufnością i radością w życie, którego cieszy cały piękny świat, słoneczko, kwiaty...“

Nie wiem o co Ci chodzi, Kaziu, bo przecież p. F. posiada prawie wszystkie zalety człowieka pogodnego i wesołego? Napisz, proszę, jeszcze raz do mnie w tej sprawie.

Rozbawiłaś mnie, Kaziu, zakończeniem swego listu, w którym jest mowa o korespondencji z Rumunem. Czy wymiana listów trwa jeszcze?

Za długi liścik, za pozdrowienia i za serdeczność — całuję buzię! Czy znowu otrzymam od Ciebie tyle miłych i ciekawych wiadomości?

„Post scriptum“ — zamieszczam niżej:

„Dziewczynce z Bydgoszczy“ dziękuję za pozdrowienia. Liścik napisze. Serdecznie pozdrawiam bardzo bliską mi „Dankę“ i „Kapłankę Wschodu“. Może napiszesz do mnie, „Danko“, kilka słów?“

„JEŻELI KTOŚ CZUJE SIĘ SMUTNY I OPUSZCZONY“...

„Mar-Molli“. Naturalnie i dla Pani znajdzie się miejsce, gdyż „Kraina“ jest bardzo, bardzo obszerną.

Liścik Pani jest napisany bardzo miło, więc zamieszczam go niżej w całości.

„Droga Pani Zofjo! Proszę jak najgrzeczniej o przyjęcie mnie do grona swej „Rodzinki“. Jestem malutką dziewczynką o jasnych lokach (oczywiście z natury) i czarnych oczach. Pomimo, że jestem młodą, przeżyłam już wiele zawodów. Pomimo to jednak nie straciłam na ochocie do życia, bo wiem, że jeszcze i dla mnie los będzie łaskawy.

Jeżeli ktoś czuje się smutny i opuszczony, to proszę, niech do mnie napisze, a postaram się go pocieszyć.

Na zakończenie zasyłam serdeczne pozdrowienia dla wszystkich Czytelników „Moich Powieści“, a osobne dla p. Br. Ślęzaka oraz p. Izydora K.“

ŻYCZENIU PANA CZYNIĘ ZADOŚĆ...

„Wirryt“. „Co się stało z moim listem?“ — dałam na niego odpowiedź w jednym z ostatnich numerów „Moich Powieści“. Czy zauważył Pan?

Życzeniu Pana czynię zadość i zakończenie pocztówki Pana oddaję do przedruku:

„Hallo! „Takie małe Coś z loczkami“! Dziękuję Ci bardzo za wyrazy sympatji i odwzajemniam je w 200 procentach. Listu narazie nie mogę napisać, gdyż jestem szalenie zajęty, lecz może Ty pierwsza skreślisz do mnie kilka słów?

Serdeczne pozdrowienia przesyłam: „Dzince“ — „Białej Uajali“ — „Ord - Omowi“ i wszystkim Sympatykom.“

POZDROWIENIA Z CZĘSTOCHOWY

„Bajka“. Za pozdrowienia, nadesłane z Częstochowy — dziękuję Pani! — również w imieniu Wujka Janusza.

Załączone pozdrowienia dla: „Stelli Maris“, „Miłej Zapałeczki“, „Etjopki“, „Nimfy II“ i „Sportsmenki“ — przekazuję.

BĘDĘ OGROMNIE ZADOWOLONA..

„Kuna Leśna“. „Czy listy, otrzymywane ode mnie, sprawiają Pani jakąś przyjemność?“

Zawsze. Droga Dziewczynko! Piszesz przecież tak miło i tak zawsze prosto... Czy wierzysz mi?

„Na dzisiaj będzie już dosyć...“ powtarzam te same słowa, które powtórzyłaś w swoim liście i jeszcze dodaję: O ile mi prześlesz znowu takie miłe „hocki - klocki“, jak ostatnio, będę ogromnie zadowolona!

A teraz, Dziewczynko Droga, kolej na Twój dopisek:

„Hallo! „Zawiedziony“! Dlaczego pan milczy? Bardzo Pana proszę o zwrot fotografji.

„Stęsknionej Irce“ dziękuję za pozdrowienia i w pełni je odwzajemniam.

Dalej pozdrawiam serdecznie: „Białą Uajali“, „Jadźkę z Kujaw“, „Nimfę z Puszczykowa“, „Wenus z Puszczykowa“, „Inżyniera z Francji“ i „Erosa“.

Hallo! „Borusie Nadbrdziański“ i „Lisie“! Dlaczego nie piszecie? Czy brak Wam odwagi zdobyć się na pierwszy krok?“

WARTO NAPISAĆ!

„Wareńka“. W tych dniach otrzymałam szalenie miły liścik od przemiłego stworzonka — „Wareńki“. W liściku tym, pisze mi „Wareńka“, że bardzo kocha życie, bardzo — tylko nieraz jest jej ogromnie smutno. Dlaczego? — sama nie wie! Smutek przychodzi niewiadomo skąd i przez długie godziny ściska boleśnie serduszko... „Wareńka“ kładzie to na karb samotności i brakowi jakichkolwiek wrażeń. Przypuszcza, że wszystkiemu temu położy kres interesująca korespondencja, dlatego apeluje gorąco o liściki. O sobie pisze „Wareńka“ mało: mieszka w ślicznem miasteczku w południowej części Wielkopolski, pracuje w biurze i jest śliczną dziewczynką (tak wszyscy mówią!) A teraz — kto napisze do samotnej panienki, której imionko brzmi tak słodko i miło?

DLACZEGO?

„Krater II“. Nie otrzymał Pan swego przyrzeczenia — dlaczego? Czekam jeszcze!...

ŁAMIGŁÓWKA ZBYT SKOMPLIKOWANA

„An - Ka“. Listy wysłałam i życzę Panu jak najwięcej przyjemności w prowadzeniu korespondencji.

Nadesłana łamigłówka jest zbyt skomplikowana, no i z tego powodu nie nadaje się do naszego tygodnika. Może nadeśle Pan łatwiejsze zadania? — bardzo proszę!

Zakończenie listu Pana oddaję do przedruku: „Przedwiośnie“! — czekam na odpowiedź! List wysłałem już dawno na podany adres.

„Stęskniona Ukrainko“! — przesyłam Ci pozdrowienia i czekam na liścik!

DZIĘKUJĘ ZA POZDROWIENIA

„Ismail“. Wszystko, o co mnie Pan prosił, skrupulatnie wypełniłam. Za pozdrowienia dziękuję i ślę Panu również dużo pozdrowień i serdeczności. Dopisek zamieszczam bardzo chętnie:

„Hallo! Miły „Paziu“! Przyjm pozdrowienia od „Ismaila“ i proszę, napisz do niego parę dobrych słów.“

WIERSZYK ZAMIESZCZAM

„Er-zet“. Dobrze! — zamieszczam wierszyk Pana i proszę o dalszą pamięć.

TĘSKNOTA

Tyle w sercu mem tęsknoty,
Tak mi czegoś żal —
Heń, pogasły gwiazdki złote
I mgła skryła dal....
O, gwiazdeczko, dawne życie
W swym promyku wznieć,
I jak dawniej na błękicie
Jeszcze dla mnie świeć.
Niech me serce jeszcze zazna
Doli młodych lat,
Nim mnie ręka pchnie żelazna
Za słoneczny świat!...

DZIĘKUJĘ ZA ZDJĘCIA!

P. Marja Nowakowa — Studzieniec. Dziękuję Pani jak najserdeczniej za przemiłe zdjęcia z wakacyj i łączę moc pozdrowień.

TO I OWO

„Wilk Morski“ zapytuje „Jadźkę z Kujaw“, czy go poznaje?

O liściki prosi: „Sarenkę“, „Stęsknioną Hankę“, „Maleńką Tajemnicę“ i „Białą Uajali“.

Moc pozdrowień śle: „Wenus“, „Marjanowi“ „Kuszącej Różyczce“, „Sportsmence i „Wesołej Irutce.“

Pozdrowienia „Czarnulki ze Świecia“ w całej pełni odwzajemnia.

ADRESÓW NIE MOGĘ WYJAWIĆ!

M. K. z Pułtuska. Adresów, o które Pan prosi, nie mogę Panu, z pewnych względów, wyjawić. Pozdrowienia dla: „Tereni z pod Wrześni“, „Czarnulki z Grudziądza“, „Czarnulki ze Świecia“, „Elżuni“ i „Dwóch dziewczynek z Działdowa“ — przekazuję!

„NIE ZAPOMNIJ O POZNANIU“...

„Optymista Sir.“ Dziękujemy Panu „in corpore“ za pamięć i pozdrowienia.

Odzew oddaję do przedruku:

„Skowronku z nad polskiej niwy“ — „ktoś z Poznania“ przesyła Ci pozdrowienia i „uśmiechnij się!“

„Czarnulko z pod Śremu“ — proszę nie zapomnij o Poznaniu... Moc pozdrowień!“

ZAPYTANIE

„Maleńki Czupigrała“. Za liścik dziękuję! Czy ten „murzyński chłopak“ nie mógłby mi nadesłać malutkiego zdjęcia?

Serdeczne pozdrowienia i miły uśmiech przeznaczone dla „Nory“ — przekazuję!

Teczka Wujka Janusza

O PLAGJATACH

„Kamilla“. Ma Pani rację — nadesłane wierszyki są ładne, mało, są bardzo piękne! Ale — nie są one utworami Pani... Czy Pani wie, co to jest plagjat? To jest kradzież i to wielka kradzież! Straszne słowo! — prawda?

Osobiście rozgrzeszam Panią z popełnionych plagjatów, bo zdaję sobie sprawę, że działałą Pani nieświadomie, proszę jednak Panią na przyszłość o zaniechanie chęci ubierania się w cudze piórka. Czy mi to Pani przyrzeka, Droga „Kamillo“?

APEL ZAMIEŚCIŁA P. ZOFJA

„Wilk Morski“. Szarada dobra. Może nadeśle Pan znowu jakieś zadania?

Apel zamieściła p. Zofja. Łączę miły uścisk dłoni!

WIERSZ SŁABY

„Jaś“. Nadesłany wierszyk może stanowić jedynie dla Pana jakąś wartość, gdyż wartości literackiej nie przedstawia żadnej. Radzę Panu utworek ten przesłać listownie p. Mery. Serdecznie pozdrawiam i ściskam Panu dłoń.

DZIĘKUJĘ...

„Iwola“. Dziękuję Pani za dotrzymanie przyrzeczenia. Z nadesłanych wierszy wybrałem do druku „I odeszłam“... Pozdrawiam Panią i czekam na nową przesyłkę.

I ODESZŁAM...

I odeszłam od rodzimych,
Ukochanych stron,
Od szumiących łanów sinych,
Gdzie mój został dom.

Gdzie płynęła pieśń sieroty,
Wśród bezkresnych pól,
Gdzie mnie witał ranek złoty
Na radość, czy ból.

Gdzie wieczorną, cichą porą,
Dumki do mnie szły,
Srebrną nocą kryształowe
Z ócz płynęły łzy.

Poszłam w świat
Na nowe życie,
Na walkę o byt,
By obetrzeć łzy sieroce
I uciszyć zgrzyt.

Niechaj więcej łzy nie płyną,
Nie rwie serca żal,
Niechaj życia mkną godziny
Jaśniej w mroczną dal...

„Iwola.“

Ogłoszenie matrymonjalne

(Praca konkursowa oznaczona II nagrodą na konkursie „Moich Powieści“).

W życiu mojem tak się złożyło, że mając lat 35, nie byłem jeszcze żonaty i w wieku tym zacząłem dopiero myśleć o dozgonnej towarzyszce życia. Ponieważ jednak byłem nauczycielem w zapadłej, kresowej wiosce, a więc zupełnie odciętym od świata, wybór odpowiedniej żony, miałem ogromnie utrudniony. Wątpiłem nawet, czy żonę wogóle znajdę i to spędzało mi niejednokrotnie sen z powiek. Wreszcie pewnego dnia, jak błyszczący meteor, zaświeciła w mojem sercu nadzieja — nareszcie! — znalazłem to, czego daremnie dotychczas szukałem!

W jednym z czasopism znalazłem bowiem, w dziale — ogłoszenia matrymonjalne — następujące ogłoszenie:

„Posiadam młode, gorące serce, które pragnę oddać na własność szlachetnemu człowiekowi. Zgł. pod: „Kwiat Tęsknoty“.

— Do licha! — pomyślałem sobie — napiszę a kto wie, czy oferta moja nie będzie łaskawie przyjęta!

Jak postanowiłem, tak zrobiłem! Po paru dniach nadeszła odpowiedź. Byłem rozanielony, — nieznajoma wyróżniła mój, a nie czyjś inny, list. Śniłem i marzyłem, jak młody sztubak...

Po paru tygodniach nieznajoma, która listami swemi całkowicie zawojowała moje leciwe serce, wyznaczyła mi spotkanie w sympatycznem miasteczku S.

Mieliśmy się poznać po kwiatach dalji (takie było życzenie mej „miłej“!), to też wysiadłem z przedziału z płomienną dalją na drżącem ze wzruszenia sercu. Na peronie było pusto — zbladłem! Nagle w oddali zobaczyłem jakieś krzywonogie stworzonko, świecące z daleka purpurowym kwiatem. W pierwszej chwili chciałem drapnąć, ale nim się zorjentowałem, „niebezpieczeństwo“ się zbliżyło.

Do dziś pamiętam ten potok wylewnych słów, które, zdawało mi się, że dziurę mi wywiercą w brzuchu. O czem nie było mowy! Szybko, bardzo szybko dowiedziałem się, że „Kwiat Tęsknoty“ ma gdzieś na wsi ciotkę, która gdy umrze, pozostawi siostrzenicy w spadku chałupinkę, kozy, no, wogóle cały „lawentarz“.

— Biedy mieć nie będzie można! — usłyszałem, ale nie olśniło mnie to wcale. Mimo wszystko chciałem pozostać do końca „correct“ Cóż? — kiedy i to mi się nie udawało! Ile razy spojrzałem na przeraźliwie zadarty nosek i szpetne piegi mej niedoszłej małżonki — drżałem i dygotałem.

— Raczej śmierć! — pomyślałem sobie, gdy zwierzyła mi się, że posiada wprawdzie narzeczonego, kowala z pobliskiego majątku, ale ona była zawsze za „jentelegentami“, więc słowa mu jeszcze pewnego nie dała. No, a gdy w sekrecie mi wymieniła sumę, jaką wydała pewnemu pośrednikowi małżeństw, za pisanie gorących listów do mnie — dostałem lekkiej febry.

Sam nie wiem, jak znalazłem się znowu w przedziale wagonu, upominany po kilka razy, abym zaraz napisał. Przyrzekałem, kiwałem nawet głową na znak zgody, ale nie napisałem. Przeniosłem się natomiast do innej miejscowości, gdzie skazałem się dobrowolnie na starokawalerstwo. W duchu śmieję się jeszcze nieraz serdecznie, że dałem się tak nabrać. Stary idjoto! — mówię sobie.

„Kwiat Tęsknoty“ wspominam nieraz i ciekawy jestem, czy uszczęśliwiła Franka — kowala, czy nadal szuka „jentelegentnego męża“, bo jeżeli chodzi o mnie, to zawsze jeszcze szukam żony, ale wiem, że jej już nie znajdę. Chodzi mi bowiem tylko o młode, gorące serduszko, a nie o „lawentarz“ i aspiracje do wyższości.

Janusz Dąbrowski.



Roztęsknione spojrzenie młodej kobiety długo goni lekki statek, unoszący na błękitnych falach morza kogoś drogiego i miłego...

Raj kobiet

Poduszki w naszych mieszkaniach

Pomysłowo i pięknie wykonane poduszki, podnoszą niezwykle wygląd naszego mieszkania, dlatego też niema domu, w którym nie znalazłoby się choć jednej lub dwóch poduszek.

Rozkładamy je wszędzie: na otomanach, kanapach, trzcinowych fotelikach, a nawet na dywanach. Nieraz jednakże w tem przeholowujemy, bo zamiast gustownie rozłożonemi poduszkami podnieść estetyczny wygląd wnętrza pokoju, wywołujemy w nim rażący kontrast.

podbite błękitnym materjałem, a więc poduszki, t. zw. „jaśki", robimy z batystu lub opalu z wstawieniami filet i błękitną podbitką. Taborecik od toaletki jest wybity niebieskim gobelinem, obok leży długi, puszysty dywanik — ładną plamą na jego tle byłaby poduszka — robimy więc ją z błękitnej włóczki i ozdabiamy w środku główką ślicznie uśmiechniętej lalki lub smętnego pierrota.

Do jasnego, słonecznego czy też ciemnego



St.2261

Wzór powyższy nabyć można w naszej administracji w cenie 2,00 zł.

A więc jak rozkładać poduszki i jakie, aby w mieszkaniu panowała idealna harmonja?

Przedewszystkiem zwróćmy baczną uwagę na nasze meble, zanim rozpoczniemy jakąś poduszkę. Przyjrzyjmy się np. naszej sypialni. — Mamy w niej jasne meble, kapy na łóżkach

saloniku, najidealniejsze poduszki będą haftowane różnobarwnie. Najładniej wyglądają tęczowe papugi lub egzotyczne ptaki i stylizowane kwiaty haftowane na szarem płótnie lub ciemnem suknie. Ślicznie wyglądają również poduszki haftowane włóczką na kanwie. Kształt poduszek może być różnoraki: prostokąt ny, owalny, okrągły, wałeczek, trójkątny itd.

Jednego tylko wystrzegajmy się przy doborze poduszek: przeładowania. Pamiętajmy stale, że zbytnia błyskotliwość staje się jarmarczną, a także o tem, że śmiesznie wyglądają koronkowe lub filet poduszki w salonach i męskich gabinetach i tak samo rażą w sypialni poduszki z ciemnego sukna z zbieraniną najróżniejszych kolorów.

Miejmy więc zawsze subtelne wyczucie, które poduszki mogą podnieść estetykę naszego mieszkania, a które ją obniżyć. W dużej mierze pomoże nam w tem gust, jeżeli nie własny to innych. Przystępując więc do haftowania poduszki, pomyślmy zawsze chwilkę nim ją rozpoczniemy, albo poradźmy się u przyjaciółki lub znajomej, czy warto haftować wzór który nam się „tak ogromnie, ogromnie podoba.

M. Z.

DOBRA GOSPODYNI

Kompot z gruszek.

Dojrzewające gruszki letnie obrać ze skórki, przeciąć na połówki, wydrążyć twarde środki okrągłą łyżeczką metalową, duże gruszki podzielić na ćwiartki, mniejsze — gotować w połówkach. Obierając gruszki, rzucać je do zimnej wody zaciśniętej sokiem cytrynowym, aby nie straciły koloru. Gdy wszystkie już obrane rzucić je do wrzącej wody i gotować 10 minut, poczem odsączyć na sicie i włożyć w syrop (400 gr. cukru na litr wody), gotując dopóki nie zmiękną. Pod koniec gotowania zacisnąć syrop sokiem cytrynowym, aby dodać gruszkom nieco wyraźniejszego smaku. Wystudzić, podawać kompot, nie przebierając go żadnemi konfiturami. Jeżeli kto lubi zapach wanilji można dodać w czasie gotowania gruszek kawałek wanilji do syropu i wyjąć go przed podaniem na stół. Dodając wanilję nie zaciskamy syropu sokiem cytrynowym.

Jabłka smażone oszczędnościowe.

Duże jabłka kuchenne obrać ze skórki, pokrajać na talarki pół cm. grube, zacisnąć sokiem cytrynowym i pocukrować.

Przygotować ciasto z piwa zwyczajnego i mąki. Ciasto powinno być tak gęste, aby się na jabłkach zatrzymywało. Maczać jabłka, osączając je z soku, w cieście i smażyć na obfitym smalcu. Podawać natychmiast, aby nie zwiotczały.

Placek drożdżowy ze śliwkami

Przygotować ciasto drożdżowe, biorąc 400 gr mąki, 5 żółtek, 5 dkg drożdży, 50 gr cukru, 100 gr masła, skórki pomarańczowej, 1 szklankę mleka, szczyptę soli. Wyrobione i wystarczająco wyrośnięte ciasto ułożyć cienką warstwą na blasze, wysmarowanej masłem, postawić ciasto w cieple, aby podrosło. Przed wysadzeniem do pieca, posmarować powierzchnię masłem roztopionem, ułożyć ściśle śliwki węgierki, przekrajane na pół i oczyszczone z pestek, posypać cukrem miałkim i piec godzinę w dobrze ciepłym piecu.

Świat i życie

Kraj i ludzie

Można śmiało powiedzieć, że dziedzicznym wrogiem Holandii jest przedewszystkiem morze. Według obliczenia znanego geografa Pencka, utraciła Holandia w walce z morzem już w czasach historycznych jedną trzecią część swojego obszaru. Morze wdzierało się w głąb kraju i zatapiało całe połacie ziemi. Ażeby dać przykład, jak morze pochłania ziemię, przytaczamy wypadek z dziejów znanej miejscowości Scheveningen. Kościół, zbudowany tam po wewnętrznej stronie ławic piaskowych, został w roku 1460 zalany przez fale morskie. Wtedy zbudowano drugi kościół o dwa km. dalej na wschód, ale i ten został zagrożony przez fale morskie.

Ale człowiek nieustannie walczy tu z wodą i obok strat należy zanotować i wielkie zdobycze. Prócz osuszonych wybrzeży morskich, zyskali także wiele Holenderzy przez osuszenie licznych jezior. I tak np. w latach 1840 — 1853 osuszyli jezioro Harlendzkie, zyskując przeszło 180 km. kwadratowych ziemi. A przytem wydzierają ziemię nietylko morzom i jeziorom, ale i torfowiskom. Usunięcie torfu odsłania podłoże z dywuwialnych osadów lodowych, które przemieniają się w urodzajne niwy. Już więcej niż połowa obszaru torfowisk stała się uprawną rolą.

Z początku wydawało się, że ten nisko położony kraj, oblany burzliwem morzem musi być pochłonięty przez wodę, ale z biegiem czasu człowiek zdołał przełamać potęgę fal. Pod osłoną zewnętrznego wybrzeża piaskowych ławic, budował tamę za tamą — całe wybrzeże wewnętrzne jest dziełem ludzkiem. Stąd aforyzm: „Deus mare, Batavus littora fecit" „Bóg stworzył morze, Bataw wybrzeża".

We wnętrzu kraju człowiek osuszył jezioro, uregulował rzeki, usunął torfowiska. Obecna Holandia jest dziełem człowieka. A rozwój ten nie ma przerwy: co rocznie kraj powiększa się kosztem morza i wód śródlądowych.

„Holandia — pisze Smoleński w encyklopedji powszechnej — narażona w jednej połowie niższej, na zalewy morza i rzek, w drugiej, wynioślejszej złożona z nieurodzajnych piasków i torfowisk, nie przedstawia, zdaje się, warunków korzystnych dla ekonomicznego rozwoju i niepowinna była nęcić ludzi do osiedlania się w niej. Mimo to Holandia ma ludność gęstą i bogatą, która osiągnęła wysoki stopień kultury.

Stanowisko to zawdzięczają Holenderzy przedewszystkiem swojej energii, jednakże punktem wyjścia tej kultury, warunkiem, który skłonił ludzi do osiedlania się w tej krainie, była właśnie jego niegościnna przyroda. Jak uchodząca przed Hunami ludność z nad północnego kąta Adriatyku znalazła schronienie na lagunach Wenecji, skąd następnie zapanowała nad wybrzeżami morza Śródziemnego, tak błotnista Holandia spowodu swej nieprzystępności stała się schronieniem ludzi silnych, którzy ponad zależność od urządzeń ludzkich przenieśli walkę z niegościnnością i groźną przyrodą.

Walka ta była zwycięską. Holenderzy stworzyli sobie ojczyznę, wydarli ją morzu rzekom i bagniskom, zmienili puszczę w krainę kultury.

Krajobraz holenderski jest nawskroś oryginalny. Na każdym niemal kroku spotykamy większe i mniejsze wiatraki, które nadawają krajobrazom dużo tajemniczego uroku. Poza tym kraj pokryty jest całą siecią grobli, pomiędzy nimi rozciągają się równiny t. zw. „Poldery", poprzeżynane na pasy kanałami, podobnemi do wielkich grzęd. Kanały te od strony morza i rzek zamknięte są śluzami, otwieranemi tylko w czasie najniższego odpływu wód morskich. Często jednakże odpływ wód z kanałów jest niemożliwy i trzeba je pompować do rzeki lub morza siłą wiatru lub pary.

Krajobraz mokradeł przedstawia niemniej oryginalny widok. Jedynemi wyniosłościami są tutaj groble. One zamykają horyzont i dziwnego doznajemy wrażenia, gdy z poza takiej grobli nieraz na wiele metrów nad poziomem widza, pojawi się wielki okręt morski posuwający się wzdłuż kanału powoli, jak widmo. Służą one do pompowania wody. Tu i ówdzie wznoszą się wielkie budowle z wysokiemi kominami. Są to pompy parowe. Gdy wstąpimy na groblę, spostrzegamy nową groblę i nową sieć kanałów.

Oto jak wygląda kraj doprowadzony pracą i zapobiegliwością swych mieszkańców do rozkwitu i dobrobytu.

Ze świata

Władał 58 językami

Za największego lingwinistę po wsze czasy uważany jest kardynał Giuseppe Mezzofanti, który urodził się 17 września 1774 roku w Bolonji, a zmarł

15 marca 1849 r. w Rzymie. Od najwcześniejszej młodości wykazywał niezwykłe zamiłowanie do studjów językoznawczych i bardzo prędko osiągnął takie wyniki, że, jak utrzymują współcześni, mógł wypowiadać się swobodnie conajmniej w 58 językach, przyczem każdym z nich władał tak, jak gdyby był wykształconym mieszkańcem danego kraju. Jak szybko kardynał Mezzofanti uczył się nowego języka, świadczy fakt, że niezwykle trudną mowę chińską opanował doskonale w ciągu czterech miesięcy. Co jest najdziwniejsze, to, że kardynał Mezzofanti ani razu w ciągu długiego swego życia nie opuścił ojczystej Italji.

Grzyb, który waży 17 kilo

W Bułgarji wyrasta często grzyb, ważący około 17 kilogramów. Jest to największy jadalny grzyb na świecie, o barwie biało-szarej. Ktokolwiek go znajdzie, zwyczaj wymaga aby zaprosił do siebie na ucztę mieszkańców wsi. Kraje go jak tort na tyle kawałków, ile jest osób. Jedynie wdowy otrzymują podwójną porcję. Skąd pochodzi ten starodawny zwyczaj — niewiadomo.

Kinomatografja w Holandji

Holandja posiada 305 kinoteatrów, w czem 291 dźwiękowych. Produkcja filmowa wzrosła na sile i znaczeniu od czasu wybudowania wielkiego atelier Philipsa w Eindhoven. Oprócz niego czynne są atelier w Amsterdamie i Wassenaar. Przeciętna produkcja krajowa wynosi 7—8 filmów pełnometrażowych rocznie. Mniejwięcej 42—43 procent filmów.

Okręty — roboty

Po maszynach — robotach przyszła kolej na statek — robot. Coprawda nie w znaczeniu dosłownem, ale w każdym razie niedaleko już od ideału mechanizacji zupełnej. Na zlecenie pewnej linji okrętowej wybudowano w stoczniach angielskich Clevde okręt — cysternę, który chociaż posiada tonaż 12.000 ton, może być kierowany przez jednego tylko człowieka.

Siły pędnej dostarczają motory Diesla: Na pokładzie znajduje się aparat, podobny nieco do tego, przy którym siedzi motorniczy w tramwaju. Odpowiednie nastawienie śruby reguluje szybkość okrętu, nadaje mu ruch wsteczny, silnika, zastępuje automatyczny gyrostat, który prostuje ruch bez interwencji obcej, gdy tylko statek zboczy z drogi wytkniętej. Jeden człowiek na pokładzie wystarcza w zupełności do kierowania okrętem, który ma pozatem tylko kilku ludzi załogi do obsługi maszyn, kucharza, tak, że w pewnym sensie statek może być nazwany statkiem — robot.

Słońce chcą zaprząc do pracy

Jeden z uczonych amerykańskich pracuje obecnie nad skonstruowaniem motoru, który ma być popędzany siłą słoneczną. Eksperyment ten uda się w całości, jeżeli motory takie okażą się praktyczne. Uczony ten udoskonalił już i opatentował instrument, chwytający promienie słońca i przetwarzający je w energję popędową. Wymyśliwszy sposób zdobywania siły popędowej z powietrza, zabrał się on do skonstruowania motoru, który mógłby być pędzony tą siłą.

Najciekawsze audycje Polskiego Radja w Warszawie

Niedziela, dnia 6 września 1936 r.

8.00 Audycja poranna 9.45 Transmisja uroczystego Nabożeństwa z Chełma z okazji „Święta Ziemi Chełmskiej" 12.03 „1000 taktów muzyki" wykona zespół Stefana Rachonia i soliści (z Wystawy Radjowej) 14.30 Audycja dla wsi 15.30 Muzyka kameralna 16.10 Koncert chóru im. Nowowiejskiego (z Torunia) 17.00 Koncert w wykonaniu Trio Salonowego P. R. 18.00 „Polskie katakumby" — słuchowisko 18.30 Koncert w wykonaniu Małej Orkiestry oraz solistów 21.00 „Na wesołej lwowskiej fali" 21.30 Recital fortepianowy Ireny Kaszowskiej 22.20 Muzyka salonowa i taneczna.

Poniedziałek, dnia 7 września 1936 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkól 12.23 Muzyka lekka 16.00 Koncert popularny 16.45 „Małe dziecko wraca z letniska" — pogadanka 17.00 Koncert w wykonaniu solistów 17.50 „Organizacja wolnego czasu w Anglji" — pogadanka 19.00 Koncert zespołu Pawał Rynasa z udziałem A. Michałowskiego 19.45 Muzyka polska 20.30 „Włóczędzy Indyj" — feljeton 21.00 „Nasza Marynarka gra" — koncert w wykonaniu Ork. Marynarki Wojennej pod dyr. kpt. A. Dulina. 22.00 Utwory na altówkę odegra Mieczysław Szaleski 22.30 „Perpetum mobile" audycja muzyczna 23.30 Muzyka taneczna (płyty).
rakterystyczne 15.45 „O ślimaczku biedaczku i inne

Wtorek, dnia 8 września 1936 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.23 Sekstet Kameralny Niny Mańskiej 16.00 Koncert solistów 16.45 „Tadeusz Kościuszko" — odczyt 17.00 Wiązanka pieśni śląskich 17.20 Recital skrzypcowy Józefa Szigeti'ego (płyty) 19.00 Koncert rozrywkowy 20.25 „Najrozmowniejszy odludek" — Wywiad Tadeusza Markowskiego ze Stanisławem Wasylewskim 20.55 „Duch Wojewody" — opera 23.00 Muzyka taneczna.

Środa, dnia 9 września 1936 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkól 12.23 Muzyka Strauss'ów ((płyty) 15.45 „Niezwykłe przygodz. Jędrka i Felka" — Audycja dla dzieci 16.15 Koncert w wyk. Orkiestry Dętej 58 pp. 17.10 „Slynne symfonje" — 6 Audycja 17.50 „Anegdoty z życia Beethovena" 19.00 Koncert w wyk. Małej Orkiestry P. R. 20.30 „Z wędrówki po prowincji" 21.00 Koncert chopinowski w wyk. Stanisława Niedzielskiego 21.30 Koncert kameralny w wyk. Trio Pozniaka 22.25 „Rikitiki-Tavi" — fragment z „Księgi Dżungli".

Czwartek, dnia 10 września 1936 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Muzyka dla dzieci (płyty) 12.23 Koncert Zespołu Salonowego Pawła Rynasa 16.00 Koncert popularny z Ciechocinka 16.45 „Społeczeństwo wojskowe — odczyt 17.00 Koncert solistów 17 50 „Człowiek przygotowany na wszystko" feljeton 19.00 Koncert w wykonaniu Polskiej Kapeli Ludowej 20.00 Kameralny Teatr Wyobraźni: „Bajki dla dorosłych" 21.00 „Nasze pieśni" 21.25 Kwartet C-Dur Mozarta 22.15 Muzyka lekka i taneczna.

Piątek, dnia 11 września 1936 r.

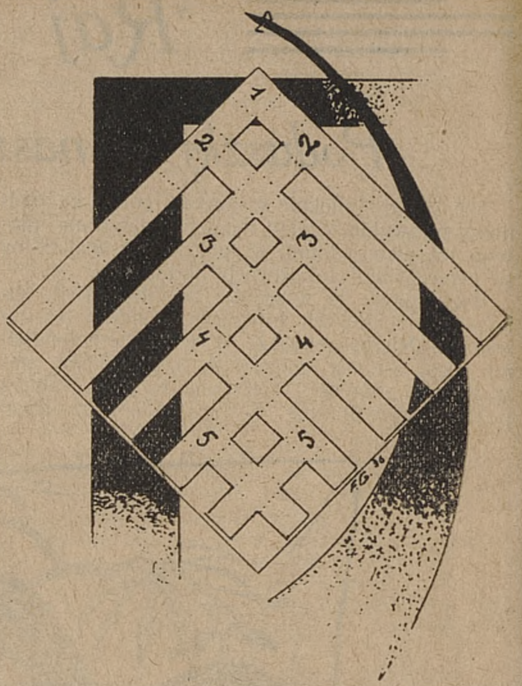
6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.23 Muzyka nowoczesna (płyty) 16.00 Koncert Orkiestry Kameralnej Adama Hermana 16.40 „Reportaż z Polesia": „ Ugranicy w Horodnie" 16.55 „Miłość i życie kobiety" — pieśni R. Schumanna 17.15 Koncert kameralny 19.00 Koncert z okazji „Tygodnia Warszawy" 20.30 „Własnemi drogami" — fragment z powieści Jana Parandowskiego 21.00 Koncert w wykonaniu Orkiestry symfonicznej P. R. 22.15 „Mecz piosenek" — audycja muzyczna ze Lwowa 23.00 Muzyka taneczna.

Sobota, dnia 12 września 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 „O lepszy czas bydła rzeźnego" — pogadanka 12.23 Koncert Ork. T. Seredyńskiego 14.30 Piosenki filmowe i foxtroty charakterystyczne 15.45 „O ślimaczku biedaczku i inne zabawne bajeczki" audycja dla dzieci 16.15 „Polska wieś w piosence revellersów" — radjokabaret z płyt 16.45 „Stolice państw Bałtyckich": „W Kopenhadze" — odczyt 17.00 Koncert solistów 17.50 „Wśród jezior i borów Chodzieży" — pogadanka 19.00 Koncert w wyk. Małej Orkiestry P. R. 20.15 Audycja dla Polaków z Zagranicy 21.00 Recital wiolonczelowy T. Lifana 21.30 „Kukułka wileńska": „Niech żyje nauka" 23.30 Muzyka taneczna.

CHWILA ZASTANOWIENIA

Magirekonstrukcja
ul. T. Gałecki



Wypisać wyrazy podług objaśnień tak, aby je było można odczytać w dwóch kierunkach jednakowo. 1) Potwór morski. 2) Poeta polski. 3) Państwo w Europie. 4) Wyraz określający przyrodę. 5) Szczep gatunek.

Szarada

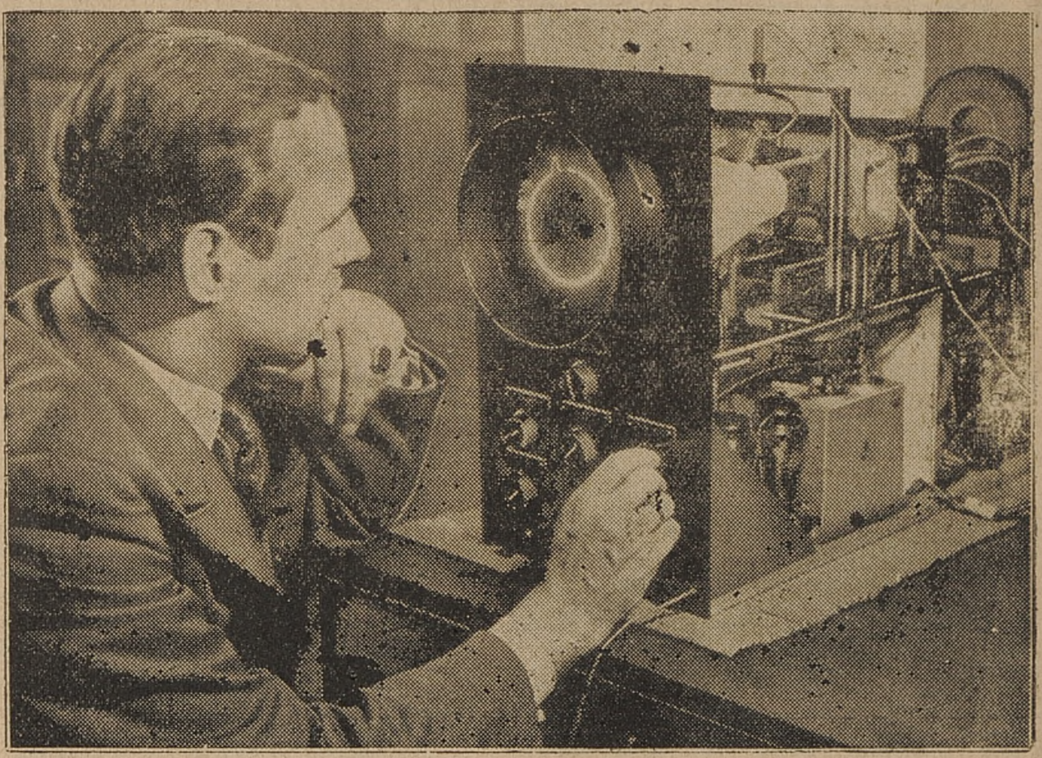
Pierwsza litera — *druga* litera,
Trzecia i *druga* chmiel i groch podpiera,
Druga i *czwarta* w Indjach wiele znaczy,
Wszystek, jeżeli Polaka zobaczy —
Kipi ze złości i radby polskie plemię
Wytępić — oddać Niemocm nagą ziemię.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek. Rozwiązania należy nadsyłać do piątku 11 września br.

Rozwiązanie zadań z numeru 34 „Moich Powieści": Zagadka literowa: „Grażyna". Szarada: Kołomyja.

Trafne rozwiązania nadesłali pp.: Ewald Odrozek — Radlin, Ludwik Kiełpiński — Bydgoszcz, Edmund Gawiński — Mielżyn, Pelagja Wagnerówna — Antonin, Michalina Wolińska — Otwock, Piotr Kłcsiewicz — Biedułtowy, Anna Bielska — Inowrocław, Wiktor Jagodzki — Wieliczka.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Pelagji Wagnerównie z Antonina i Wiktorowi Jagodzkiemu z Wieliczki.



Na wystawie radjofonicznej w Berlinie, wystawiono zegar słoneczno - świetlny, który wskazuje minimalny czas — 1/10 milimetrowej sekundy.

„Dobrze, niech pan zaglądnie tutaj. Biedna Maud potrzebuje teraz przyjaciółki. Ach, właśnie nadchodzi!“

Nagle otwarły się drzwi. Zygmunt, Elżbieta i Jeremiasz Krabbe zobaczyli na progu córkę nieszczęśliwego adwokata.

Jej blada twarz i urocze oczy przybrały przerażający wyraz. Z pod lekkiej, obcisłej sukni przebijała się dziewicza, drżąca pierś.

„Mój ojciec umarł“, zawołała Maud bezbarwnym głosem, a każde jej słowo było podobne do uderzenia młotu. „Trudno, nie możemy tego zmienić, a wszystkie skargi i łzy nie pomogą zmarłemu! Lecz jego mordercy żyją i bawią na wolności. Znajdę ich, nawet gdyby się zapadli pod ziemię. Powiedziano mi, że pan,“ — Maud zwróciła się do hrabiego Zygmunta, który patrzył z litością na piękną dziewczynę, — wie, jak się nazywają mordercy. Nieprawda, Morizano i Alfred Robber zamordowali mojego ojca? Lecz wie pan o tem, że ci ludzie byli tylko ślepem narzędziem w rękach innego?“

„Nie wiem o tem,“ odparł Zygmunt, „lecz bardzo możliwe, że spełnili tę zbrodnię na polecenie jakiejś osoby. W tym wypadku najcięższa kara spadłaby na moralnego sprawcę morderstwa!“

„Oh, znam tego człowieka“, zawołała Maud, „wiem, kto namówił Alfreda Robbera i Morizano. Wprawdzie jestem tylko słabą kobietą, lecz wymuszę z niego wyznanie prawdy, — przysięgam na Boga, na pamięć mojego drogiego ojca, że spełnię moją groźbę. Mój ojciec nie był zapewne bez winy, lecz w każdym razie nie zasłużył na taką okrutną śmierć.

„Mój panie, — Elżbieto, — dopomożecie mi do zdemaskowania mordercy?“

„Naturalnie!“ zawołali równocześnie hrabia Zygmunt i Elżbieta.

Stary Jeremiasz Krabbe zaś rzekł:

„Panno Maud, może pani raczy przyjąć także i moje usługi?“

„Owszem, poczciwy Krabbe“, odparła wzruszona Maud. „Nie zasłużyłam wprawdzie na pańskie względy, lecz tembardziej cenię twoje słowa. Dzięki Bogu, mam więc sprzymierzeńców. Jutro rozpoczniemy walkę na śmierć i życie!

„Byście jednak wiedzieli, moi przyjaciele, z kim będziemy walczyć, wymienię wam moje nazwisko.

„Ten, który własną krwią musi zmyć krew mego ojca, — nazywa się, — baronel Ralf Ravington!“

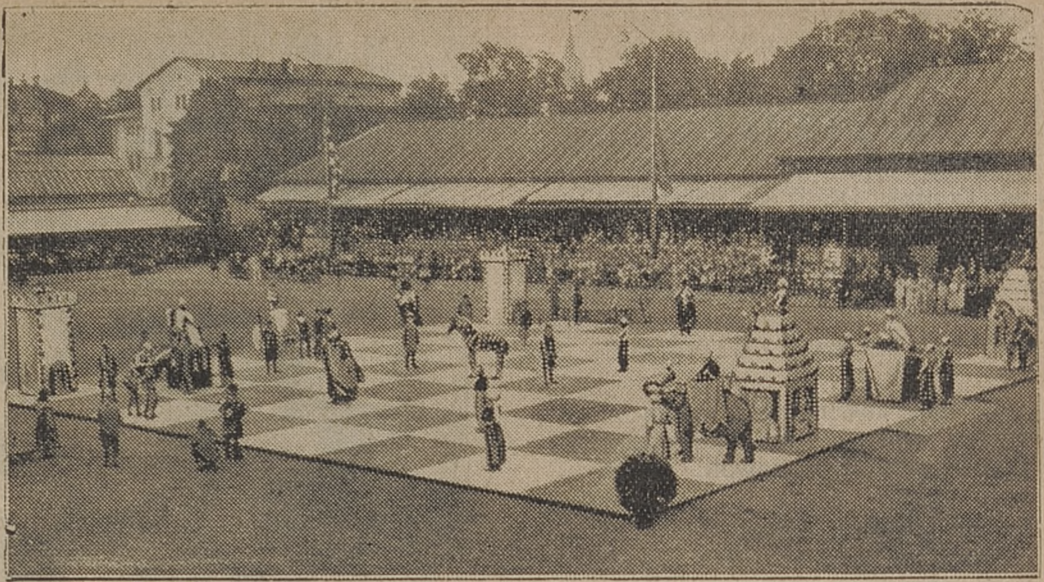
CXCI.

Na londyńskim moście

Ralf Ravington wstał z gniewem od stolika, na którym leżały rozrzucone karty. Znowu dzisiaj nie miał szczęścia.

Od dłuższego czasu już grywał w klubie parów angielskich, do którego miał wolny wstęp, odkąd stało się wiadomem, że sąd ma mu przyznać spadek Ravingtonów; — grał ryzykownie na wielkie stawki i przegrał już dość pokaźną sumkę.

W trzy tygodnie później nie byłoby go to wcale żenowało, w trzech tygodniach spodziewał się przecież odziedziczyć miljonowy majątek Ravingtonów. Ale dzisiaj, — miły Boże, dzisiaj było bardzo krucho koło przyszłego lorda Anglji.



W czasie międzynarodowych zawodów w szachy, odbyło się przedstawienie pod gołem niebem, pod tytułem „Szachy Narodów“.

Nie był w stanie nawet zapłacić swego długu karcianego, musiał poprosić swego partnera w ecarté lorda Aberdeen, aby był tak dobrym i zaczekał na wypłatę wygranych trzech tysięcy funtów szterlingów do trzech dni.

Zobowiązał się słowem honoru, że w tym czasie wypłaci mu przegraną sumę. Lord Aberdeen był widocznie bardzo uprzejmym człowiekiem, bo pomimo zwyczaju ustalonego, który obowiązuje dług karciany w przeciągu dwudziestu czterech godzin uiścić, zgodził się na przedłużenie terminu.

„Nieprawdaż, kochany lordzie Aberdeen“, zwrócił się Ralf Ravington do swego partnera, „pan będziesz tak dobry i zachowasz tę naszą obecną umowę w tajemnicy. Pojmuje pan, że moje fatalne położenie —“

„Zaręczam panu,“ przerwał mu lord Aberdeen, „że sprawa ta, która i tak tylko pana i mnie interesuje, zostanie pomiędzy nami.“

„Rozumie się samo przez się“, odezwał się Ravington wyniosłym, dumnym tonem, „że załatwię tę bagatelę w przeciągu trzech dni z podziękowaniem. Obecnie tylko —“

„Rozumiem pana bardzo dobrze“, przerwał mu Aberdeen, „tem samem sprawa ta załatwiona między nami.“

Podał mu rękę i wyszedł z pokoju, przeznaczonego do gry w karty, udając się do bibljoteki.

Zwyczajnie przesiadywał tam, zagłębiając się w czasopismo lub jakąś książkę, grywał tylko bardzo rzadko w karty, nie było to jego ulubioną rozrywką.

Tylko w ostatnich dniach zrobił wyjątek, musiał czemś silniej na nerwy działającem rozerwać swój umysł. Znajdował się w dziwnym, gorączkowym stanie, z którego nie umiał sobie zdać sprawozdania.

Nie mógł zapomnieć tej występnej, ale pięknej kobiety, której dopomógł do ucieczki z Londynu. Mimo walki ze sobą myśli jego wracały ciągle do Loli. Fantazja kreśliła mu jeszcze ponętniejszy obraz jej, jak w rzeczywistości.

„Gdzie ona teraz przebywa?“ myślał lord Aberdeen, siadając na kanapie w świetnie umeblowanej bibljotece i podpierając głowę obu dłońmi, „gdzie ją mógł zanieść balon? To całkiem jasne, że nie daje znaku życia o sobie, jednak — jednak moje myśli prześladują ją nieustannie.“

Jeden ze służących klubu przyniósł cały stos gazet i położył je na stole przed młodym lordem, oddalając się na palcach do przedpokoju.

Mechanicznie rozwinął Aberdeen jedną z nich, kierując wzrok na zadrukowane szpalty.

Zaledwie jednak wzrok jego spoczął na jednem miejscu, zerwał się jak oparzony z siedzenia.

Pomiędzy rozmaitemi wiadomościami z królestwa był pomiędzy innemi mały artykuł, w którym pokrótce donoszono, że na wybrzeżu hrabstwa Jork zauważono jakiś balon, który porwany burzą pędził z całą siłą tuż nad wodą, niedługo jednak wpadł w rozpienione bałwany i zniknął z widnokręgu.

„Zginęła!“ wykrzyknął mimowoli lord Aberden, odsuwając od siebie gazetę. „To był mój balon, a w nim Lola i jej ojciec! — O mój Boże, w chwili, kiedy mi fantazja tak uroczo kreśliła tę ponętną postać, ona na dnie morza zapewne już leżała nieżywa. A ja — ja zawiniłem poczęści ten straszny wypadek, bom jej sam przecież doradził do ucieczki napowietrznej. Biedna Lolu, — mściwa Nemezis dogoniła cię i dosięgła między niebem a morzem w chwili, kiedyś chciała uciec przed jej polipowatemi ramionami. — Niech Bóg będzie ci miłosierny — niech się zlituje nad twą biedną duszyczką!“

Młody lord usiadł ciężko napowrót i wsparł głowę na tylnej poduszce. W milczeniu przymknął oczy. Z pod rzęsów stoczyła mu się wielka, przejrzysta łza.

Ralf Ravington opuścił również zaraz pokój do grania, ale udał się wprost do garderoby, gdzie usłużny lokaj podał mu z gracją jego palto i pomógł mu się ubrać. Zasadziwszy cylinder na głowę i wymachując laseczką wyszedł z klubu, udając się do swego pomieszkania.

Była już dwunasta godzina w nocy. Całe miasto pływało w mgle. Jesień

wysłała już swe szare zwiastuny, którymi corocznie nawiedzała Londyn.

Ravington nie wziął dorożki. Miał jeszcze z gry rozpaloną głowę, podążył więc pieszo w kierunku mieszkania.

Właśnie dotarł do wielkiego mostu nad Tamizą. Otulił się staranniej paltem, — chłodny wiatr dął od wody.

Znajdował się już może na środku mostu, kiedy nagle z za jednego słupa wyłoniła się jakąś postać, która tam widocznie dłuższy czas czatowała na niego.

„Baronet Ravington", odezwał się szeptem jakiś głos, przy którego dźwięku Ralf zadrżał mimowoli.

„Do djabła", zaklął pocichu baronet. „To wy jesteście, Alfred Robber?"

„Cicho, — tylko nazwiska nie wymieniać", zaszeptał rudowłosy złoczyńca, „te psy gończe mają doskonały słuch, a słyszeliście zapewne, że historja nasza poszła mi całkiem gładko."

„Nietylko słyszałem", odpowiedział Ravington, „ale czytałem nawet o tem w gazecie. Przeklęcie! Jak mogliście się dać przytem zaskoczyć jeszcze do tego przez znającego wasze głosy!"

„Ha, — pech, — nic innego!" odpowiedział Robber, wstrząsając ramionami, „zresztą główna rzecz, — a to najważniejsza, — załatwiona; — adwokat został jako trup w swoim domu."

Ravington podniósł kołnierz swojego palta do góry, dreszcz przeszedł mu po ciele.

„I dlatego czekaliście na mnie?" zakrzyknął na Robbera z gniewem, „dlatego, aby mi udzielić tych wiadomości, o których i tak już jestem dokładnie poinformowany? Czyż nie wiecie o tem, że stawiacie mnie w ogromne niebezpieczeństwo? Gdyby nas tutaj ktoś razem ujrzał, byłbym zgubionym."

„Panie baronecie, pan wie przecież, dlaczego ja tutaj czekałem", odezwał się Alfred Robber. Już cztery razy byłem w pańskiem pomieszkaniu. Pod rozmaitemi przebraniami starałem się rozmówić z panem, ale pan masz Argusa za kamerdynera; ten człowiek nie przepuści żadnego żebraka przez próg. Kiedym przyszedł przebrany za handlarza, zamknął mi drzwi przed nosem. Wreszcie dzisiaj wieczór odwiedziłem pana jako agent towarzystwa zabezpieczeń. Powiedziano mi, żeś pan wyszedł i że przed północą nie wrócisz do domu. Naturalnie spytałem zaraz, gdzie pan jesteś. Z trudem dowiedziałem się, że pan w klubie się zabawia. Wiedziałem, że pan tędy musi wracać do domu, dlatego tutaj oczekiwałem go."

„Ale ja nie mam czasu odpowiadać wam teraz na wasze pytania," odparł Ralf Ravington. „Przyjdźcie jutro w południe do mnie. Ja już się postaram o to, że was wpuszczą do środka."

Ralf Ravington pokroczył dalej, chcąc się usunąć od natręta, ale Alfred Robber trzymał się ciągle jego boku.

„Oho, panie baronecie!" zawołał. „Tak się nie bawimy. Myśmy zrobili co dla nas należało, teraz zostaje panu tylko obowiązek wywiązać się ze swego przyrzeczenia."

„Mego przyrzeczenia!? Nie wiem o niczem, cobym wam przyrzekał", odpo-



Ostatnio odbył się w Londynie konkurs na najpiękniejszą mieszkankę miasta, połączony z konkursem na najładniejsze dziecko.

wiedział baronet niepewnie brzmiącym głosem, unikając wzroku Robbera.

Rudowłosy złoczyńca przyskoczył bliżej, zatapiając swoje jadowite spojrzenie w twarz baroneta.

„Czy to ma znaczyć", zasyczał Robber ochrypłym głosem, „że pan chce nas oszukać, zaprzec się umówionej nagrody? Przecież obiecałeś pan mnie i Morizano 5000 funtów szterlingów, jeżeli zg'adzimy starego ze świata. To się stało. Dokonaliśmy naszego dzieła. Leży jak ścierwo. Naraziliśmy się nawet na największe niebezpieczeństwo, bośmy byli zmuszeni ratować się ucieczką przez okno. Co się tyczy mnie, umiem skakać jak kot na nogi, to też mi się nic nie stało. Ale Morizano złamał sobie krzyże i leży w naszej nędznej szpelunce śmiertelnie słaby. Nie mam nawet odwagi przywołać doktora, bo się boję, aby się nie spytał o przyczynę skaleczenia. — Najwyższy czas, abyśmy dostali nasze pieniądze, bo tutaj w Londynie zaczyna nam się podłoga palić pod nogami; muszę koniecznie wywieźć Morizano z miasta."

„Co mnie to wszystko obchodzi?" zawołał Ravington, opowiadacie mi historje, które mnie wcale nie interesują. Ja nie dawałem wam żadnego polecenia, abyście adwokata mordowali; powiedziałem tylko, że on jest moim nieprzyjacielem i że gotówbym stracić 5000 funtów szterlingów, żeby bestja zadarła nogi."

„Nie chcecie więc płacić? Chcecie nas oszukać?" zawołał Robber tak głośno, że jakiś przechodzień się oglądnął. „Rozważcie i zastanówcie się tylko dobrze, baronecie; to bardzo ryzykowne z waszej strony zadzierać z nami. Mogłoby to was drożej kosztować jak pięć tysięcy funtów szterlingów ta walka z nami, gdybyście przegrali."

„Ależ, chociażbym wam chciał wypłacić," odparł Ralf Ravington, który tymczasem przyszedł do przekonania, że lepiej wyjdzie jak po dobremu się rozmówi, „to nie mógłbym tego uczynić z tej prostej przyczyny, że nie mam 5000 funtów szterlingów. Jeżeli się zadowolicie małą sumką, to mógłbym wam służyć stu funtami szterlingów, tyle mam przy sobie."

„Sto funtów szterlingów?" wykrzyknął Robber, zgrzytając zębami, „to jałmużna dla dziada. Nie morduje się człowieka za sto funtów!"

Ani Ralf Ravington, ani Alfred Robber nie zauważyli, że w ostatnich kilku minutach szedł za nimi jakiś mężczyzna, otulony w długi płaszcz. Był to ten sam przechodzeń, który na wykrzyk Robbera się obrócił.

Tak baronet jak i opryszek byli tak rozgorączkowani, że zapomnieli na wszelkie środki ostrożności, ani nie oglądnęli się nawet, aby się zapewnić, czy przypadkiem nie podsłuchuje ich jaki niepowołany.

Nieznajomy, który nagle skręcił i zainteresował się widocznie bardzo osobami.

„Co mnie, do djabła, to wszystko obchodzi!" zawołał baronet, przyspieszając kroku, „co mnie to obchodzi, że Morizano skręcił kark i cała ta historja! Zaofiarowała wam sto funtów szterlingów, więc zdecydujcie się, chcecie je, czy nie!"

„Tymczasowo jako zaliczkę," odpowiedział Robber, wyciągając rękę.

„Chodźcie ze mną do najbliższej latarni, tam wam wypłacę sto funtów. Tutaj za ciemno, zresztą nie bardzo bezpiecznie w waszem pobliżu wyciągać portmonetkę."

„Ha, jak się nie boicie, że was kto może zobaczyć razem ze mną przy świetle latarni, to dobrze," odpowiedział Alfred Robber, „mnie to wszystko jedno. Tylko nie myślcie, że się wykręcicie tak tanim kosztem, że stu funtami nie możemy ani szylinga opuścić z ulutnie za mało dla mnie i dla Morizano. Postarajcie się więc o pieniądze, nie możemy ani szylinga opuścić z umówionej sumy."

„Powtarzam wam jeszcze raz," odparł baronet, „że nie mam pieniędzy."

„W takim razie nie trzeba było nas namawiać do mordu,“ wykrztusił Robber, „kto nie może płacić, ten niech nie daje zlecenia.“

Rober znowu przy tych słowach począł głośno krzyczeć. Baronet skinął na niego, aby się uciszył.

„Do krocset, czy chcecie się pohuśtać na szubienicy, że krzyczycie, jakby was kto ze skóry obdzierał? Całe City mogłoby słyszeć. Uspokójcie się wreszcie. — W trzech tygodniach odziedziczę wielki majątek, wtedy wam zapłacę.“

„Hm, a te trzy tygodnie mamy przymierać z głodu?“ zawołał Robber z pasją.

„Przecież ze stu funtami możecie ten czas przetrzymać! Nie jesteście do licha lordami, żebyście mieli żyć na wielką stopę, wystawnie i zbytkownie.“

„At, gadacie, a nie rozumiecie niczego,“ wybąknął Alfred Robber z wściekłością, „złoczyńca, który czuje, że go tropią, potrzebuje więcej pieniędzy jak paniczek, który tylko dla zadowolenia swych zachcianek rozsypuje grosz. Jakżesz mam ukryć Morizano? Gdzie go ma odwiedzać doktor i gdzie leczyć? Bo przecież wszystko kosztuje masę pieniędzy. A każdy z nas, który zmuszony jest znosić się tylko z gospodarzami spelunek, przeznaczonych dla złoczyńców, musi być na to przygotowanym, że go te gałgany obrabują i wyssą do ostatka, bo wiedzą dobrze, że my ich potrzebujemy i żeśmy od nich zawiśli.“

„No to opuście Anglję i wyjedźcie do Ameryki,“ zawołał Ravington.

Na tę propozycję zaśmiał się tylko Robber szyderczo.

„To wiem, żeby to wam było bardzo przyjemnie,“ odpowiedział rudy bandyta, „gdybyśmy znikli i nie pokazali się więcej. Jesteśmy sami zdecydowani wyemigrować do Ameryki, bo nam tu już za gorąco pod nogami, ale pierwej nie wyjedziemy, dopóki nam nie wypłacicie wszystkiego, coście winni, — Tutaj latarnia, wreszcie dobiliśmy szczęśliwie do niej. — Dajcie mi więc prędko sto funtów.“

Podczas, gdy ci dwaj stanęli tuż koło światła, nieznajomy towarzysz, który już od dłuższego czasu szedł za nimi krok w krok, schował się czemprędzej we framugę, w jedno z obszerniejszych zagłębień muru, które go całkowicie zakryło.

„Na szczęście dzisiaj gruba mgła. Nikt nas tutaj nie zobaczy“, odezwał się Ravington, wyciągając pomału pulares z kieszeni. Tutaj macie sto funtów szterlingów. Tylko nie spodziewajcie się, że dostaniecie cośkolwiek jeszcze przed upływem tygodnia.“

„Ha, wy macie przecież kredyt! Jak długo was trzymają za przyszłego spadkobiorcę majątku Ravingtonów, udzieli wam każdy pożyczki, tak chrześcijanin jak i żyd. A powiedziawszy tak pomiędzy nami powinniście właśnie teraz wykorzystać tę tak korzystną sytuację i ponaciągać łatwowiernych, bo potem, jak się dowiedzą, że sny lordowskie rozleciały się jak chmurki, — potem będzie zapóźno, wtedy nie da wam żaden ani dziesięciu szylingów.“

„Co wygadujecie takie głupstwo i niedorzeczności,“ obruszył się Ravington z gniewem, „mój sen lordowski miałby być mrzonką? Ja wam powiadam, w trzech tygodniach zostanę lordem Ravingtonem. Wtedy dopiero będę rozporządzał ogromnemi posiadłościami wartości kilka miljonów i klejnotami familijnemi, które same, gdybym je zechciał spieniężyć, przyniosłoby mi ogromny majątek w gotówce. To wszystko tak jest pewne jak oto ta latarnia, którą obejmuję dłonią.“

Ha, uważajcie tylko, żeby ta latarnia nie za prędko rozleciała się i wyśliznęła z waszej ręki,“ zaśmiał się Robber dziko... „Mnie się zdaje, że sir nie czytał jeszcze dzisiaj wieczornego wydania dzienników?“

„Rzeczywiście,“ odparł Ravington z pośpiechem, „grałem dzisiaj w klubie, więc zapomniałem przestudjować wczorne gazety. Ale cóż one mogą zawierać, coby mnie interesowało? Może który ś z dzienników podaje jakieś przypuszczenie lub mniemanie, które tylko śmiech zdołałoby wywołać na mych ustach.“

„Bardzo jesteście szczęśliwi, że możecie się śmiać z tego, ją przyznam się o małom się nie zakrztusił tym ogryzkiem, — byłem w obawie o uduszenie przy kolacji, kiedy zacząłem czytać gazetę „Daily,“ siedząc przy chorym Morizano.

„Zresztą kiedy robicie taką niedowierzającą minę, to przeczytajcie sobie sami ten artykulik, może dosyć światła będziecie mieli tutaj koło latarni!“

Rudowłosy bandyta wyjął z kieszeni pomięty kawał gazety i podał go baronetowi.

Ralf rozwinął złożony arkusz zupełnie spokojnie z miną pewną siebie.

Ale zaledwie wyczytał parę słów, potoczył się w tył, blednąc na twarzy jak chustka.

„Haha, robi wrażenie?“ zaśmiał się Robber szyderczo, „wiedziałem, że tak będzie, teraz trzymacie latarnię obiema rękoma, aby się wam nie wyślizgła.“

„To nie prawda, — to wierutne, obrzydliwe kłamstwo!“ wykrztusił Ravington z trudem ze siebie. „Gazeta „Daily“ fałszywie poinformowana, — opowiada jakieś bajki czytelnikom tylko. Dowodzi z zadziwiającą bezczelnością, że Elżbieta Ravington zjawiła się nagle i że najwyższy trybunał sądowy otrzymał już jej podanie, w którem zastrzega sobie wszelkie prawa do spadku! A jakimi nędznemi przypuszczeniami kończy się ten artykuł:

„O ile możemy zapewnić czytelnika informacjami z najlepszych źródeł, nie ulega kwestji, że młoda lady Elżbieta Ravington wygra proces i udowodni swoje prawa pierwotne. Nie tylko udowodni tożsamość swojej osoby i wynikające z tegoż przyznanie spadku, ale poczyni oprócz tego specjalne zeznania, interesujące, które osobistość tegoż, któremu sąd miał przyznać prawo spadku lepiej oświecą i objaśnią. Zapewne po procesie o spadek, zacznie się drugi, w którym baronet Ralf Ravington odegra wcale niezaszczytną rolę oskarżonego.“

Gazeta wypadła z drżących rąk baroneta. Alfred Robber wyciągnął prędko rękę, by podtrzymać upadającego baroneta. Lekkie omdlenie zwaliłoby go z nóg, gdyby nie pomoc Robbera.

Arkusz gazety podniósł wiatr w bok aż do nóg ukrytego za węgłem nieznajomego w długiej narzutce.

„Bajki, bajki, nic innego jak bajki, piekielne wymysły,“ wyjęczał złamany Ralf. „To nie może być prawdą, aby ona się zjawiła i praw swoich dochodziła, nie, — absolutnie nie, — Elżbieta Ravington przecież nie żyje.“

„A jak żyje,“ zaszeptał Alfred Robber do ucha baroneta ze szatańską złośliwością, „co wtedy, kochany panie, przyszły lordzie i przyszły właścicielu miljonów, — co wtedy?“

„Wówczas jestem zgubionym!“ zajęczał Ralf. „Ale to nie może być! Black sam zapewnił mnie, że zginęła. Och, cóżbym dał za to, żeby Black jeszcze żył i gdybym się nie był z nim poróżnił i posprzeczał!“

„Ha, zawsze bez zastanowienia postępujecie, — za prędko i za forsownie,“ odpowiedział Alfred Robber wyniośle. „Regularnie różnicie się z tymi, którzy wam byli pomocni. Tak zrobiliście z Blackiem, tak samo chcieliście postąpić ze mną i z biednym Morizano. Ale strzeżcie się, — kto swoich przyjaciół płaci niewdzięcznością, niech się nie dziwi, że na każdym kroku robi sobie świeżych nieprzyjaciół.“

„Macie rację, Alfredzie Robberze,“ odezwał się baronet głucho, „teraz widzę, że muszę z wami trzymać. Pytaliście mnie dopiero o to, co wtedy, jak Elżbieta Ravington naprawdę żyje? — Dobrze, odpowiem wam zaraz na to pytanie, co wówczas się stać musi.“

Baronet przyciągnął rudego opryszka bliżej siebie i począł mu szeptać drżącemi ustami, ochrypłym głosem:

„Jeżeli Elżbieta żyje, w takim razie musi paść podobnie jak Black.“

„Aha, dajecie mi nowe zlecenie,“ zaśmiał się Alfred Robber ironicznie, „ale najpierw powiadam wam, że zanim zabiorę się do drugiego dzieła, muszę być najprzód za pierwsze zapłaconym.“

„Ja zapłacę wam,“ zawołał Ralf Ravington dzikim głosem w najwyższem rozdenerwowaniu, „zapłacę, chociażbym miał pieniądze wydrzeć djabłu z gardła.“

„Tak, to rozumiem gadać! Za pieniądze sprawimy bal całej klinice. A więc powiedzcie baronecie, kiedy mam się stawić, by odebrać resztę pieniędzy?“

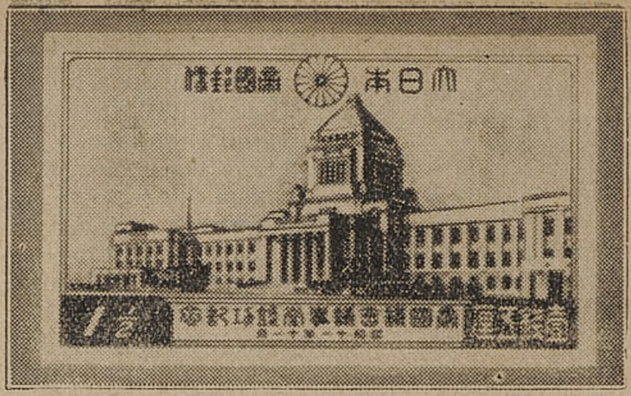
Baronet zamyślił się chwilę, poczem wzdychając ciężko, odpowiedział:

„Przyjdźcie jutro, jak tylko się wieczór zrobi, do mnie! Ale nie wchodźcie przez główną bramę. Postaram się już o to, żeby drzwi od ogrodu były otwarte i żeby was nikt nie spostrzegł. Po schodach możecie się dostać wprost do mej pracowni. A więc mogę was jutro wieczór oczekiwać?“

„Zjawię się z pewnością,“ odparł Alfred Robber, „a jak zapłacicie, to można będzie zaraz pojutrze załatwić z drugim interesem.“

„Ale do tego będzie wam brakowało drugiego kompaniona,“ zauważył angielski baronet, „czy może potraficie sami się załatwić?“

„Fiu, cóż to takiego strasznego? Rozchodzi się tylko przecież o lalusie! — Pójdzie się na nią jak tylko wyjdzie z domu, pod jakimkolwiek pozorem



Japonja wydała ostatnio nowe znaczki z okazji poświęcenia nowego gmachu parlamentu.

zwabi się ją do najbliższej bramy, — a reszta już pójdzie jakoś.“

Baronet wzdrygnął się mimowoli przed tą zimną krwią i drwinami opryszka. Otulając się lepiej płaszczem, odezwał się:

„Ja teraz muszę wracać do domu. Bądźcie zdrowi, a nie dajcie złapać się policji. Czy Morizano rzeczywiście tak słaby!?“

„Z niego nic już nie będzie. Wygląda jak pies, który sobie wszystkie łapy połamie. Jęczy, rzęzi i gada niedorzeczności. Czasem krzyczy tak głośno, że boję się, aby mnie nie zdradził.“

„W takim razie lepiej by było, żeby zrobić z nim krótki rachunek,“ zauważył baronet.

„O tem także już myślałem,“ odpowiedział Alfred Robber. „A więc jutro o siódmej wieczór zobaczymy się, baronecie, — stawię się punktualnie na miejscu.“

CXCII.

Jeden z redakcji

Rudowłosy odwrócił się i udał się do domu. — Baronet także odszedł parę kroków, ale nogi mu tak bardzo drżały, że nie mógł poprostu iść.

W tej samej chwili ukazała się doróżka. Woźnica miał widocznie zamiar wrócić do domu, bo zasnął na koźle, — konie same postępowały zwolna w znajomym kierunku.

Ralf Ravington zawołał silnym głosem na doróżkarza i rozkazał się zawieść do domu. Wymienił pełny swój adres.

Nieznajomy w długim płaszczu był schowany przez cały czas w niszy poza murem. Teraz wyszedł ostrożnie ze swojego ukrycia. — Z pośpiechem uchwycił arkusz gazety, podnosząc go ze ziemi, i wsunął go do swojej kieszeni, poczem pomaszerował w niejakiem oddaleniu za Alfredem Robberem. — Widocznie spodziewał się, że wymyszkuje gniazdo bandyty.

Ale rudowłosy był ostrożny. Obracał się kilka razy, przystawał i zmieniał kierunek. Nieznajomy poznał, że opryszek domyśla się może, że go ktoś chce wyśledzić, więc zmienił swój pierwotny plan, zaprzestał dalszego tropienia i wszedł do kawiarni.

Kiedy rozebrał się z płaszcza i zdjął kapelusz, głęboko na czoło nasunięty, ukazał się dopiero we właściwej swej skórze, — jako młody, przystojny oficer marynarki.

Był to nie kto inny, jak Marceli Remy.

„Co za tajemnicę zwietrzyłem znowu?“ zaszeptał sam do siebie, rzucając się na krzesło. „mój Boże, chyba się nie mylę, ci dwaj ludzie, którzy tam stali koło latarni i coś tak tajemniczo ze sobą naradzali, rozmawiali przecież o Elżbiecie Ravington, — o mojej ukochanej dziewczynie? Może ten odłam gazety, który wiatr szczęśliwie do mnie zaniósł wyjaśni mi nieco więcej?“

Marceli Remy wychylił z pośpiechem i począł czytać. Można sobie wyobrazać, co za uczucia wstrząsały jego piersią, kiedy nie raz, ale parę razy odczytał to słodkie imię Elżbiety Ravington. Artykuł donosi, że młoda lady wróciła w celu odzyskania swych praw.

Marceli Remy wychylił z pośpiechem filiżankę gorącej kawy, zapłacił natychmiast i otuliwszy się znowu starannie płaszczem, wypadł na ulicę.

Udał się prosto w kierunku redakcji gazety „Daily“. Kazał się zameldować redaktorowi, mającemu nocną służbę. Redaktor powitał grzecznie wchodzącego młodego oficera marynarki.

„Panie redaktorze,“ odezwał się Marceli, siadając na prośbę urzędnika na wskazanem krześle, „przyszedłem poprosić pana o jedną wiadomość, która dla mnie ma nadzwyczajną wagę. Proszę mi spojrzeć w twarz i przestudjować aby się pan przekonał, że ma pan do czynienie z rzetelnym, prawym człowiekiem. Nazywam się Marceli Remy i jestem oficerem marynarki.“

„Bardzo ładnie, sir! Rzeczywiście wygląda pan na porządnego człowieka.“

„Jako taki, pragnę być uznany, bo mam panu postawić pytanie, które może zrobić by mogło pana podejrzliwym. Właśnie wyczytałem w pańskiej gazecie artykuł, w którym donosi pan, że lady Elżbieta Ravington wróciła do Londynu.“

„Więc o co panu chodzi?“ spytał redaktor, namyślając się z powagą.

„Chciałbym wiedzieć, kto ten artykuł napisał.“

„Bardzo mi przykro, to tajemnica redakcji.“

„Dobrze, niech pan sobie zatrzyma tę tajemnicę; proszę mi tylko powiedzieć, gdzie mieszka Elżbieta Ravington.“

„To mogłoby z niebezpieczeństwem dla tej młodej damy być połączonem, przeto zamilczę lepiej. To tylko mogę panu powiedzieć, że młoda lady rzeczywiście mieszka w Londynie i rozpoczyna proces przeciw samemu kuzy-

nowi, niejakiemu Ralfowi Ravington, który ogłosił ją za zmarłą. Baronet siedzi w długach po uszy i jak mu się nie powiedzie schwycić majątek w swoje ręce, w takim razie zgubiony."

„Panie redaktorze, skąd pan czerpie tak niekorzystne wiadomości co do baroneta?"

Redaktor zastanowił się chwilę, poczem spojrzał jeszcze raz badawczo w twarz młodego oficera, następnie odezwał się:

„Myślę, że się nie mylę, jeżeli uważam pana za człowieka prawego i honorowego, przeto chcę panu i na to odpowiedzieć. Baronet jest graczem i rozrzutnikiem. — Liczy on się do tej kasty młodej arystokracji, która postawiła sobie za cel zabawę i rozrywkę choćby nawet ta była połączona z ruiną finansową wielu niewinnych rodzin, — ba nawet z morderstwem!

„Dopiero niedawno znaleziono zamordowanego człowieka, który był powiernikiem Ravingtona i jego najpoufalszem narzędziem. Miał rozbitą czaszkę."

„Przepraszam, jak się nazywał ten zamordowany? W ostatnich dniach nie byłem w Londynie, więc nie wiem nic o najnowszych wypadkach."

„Nazywał się Black, był adwokatem w City."

„Black!" wykrzyknął nagle Marceli, „Black, powiadasz pan. To nazwisko słyszałem dziś po raz pierwszy. — Wiatr doniósł mi je do ucha, kiedy podsłuchiwałem dwa podejrzane indywidua. Jeden z nich był Ralf Ravington, — to wiem napewno."

„Panie," zawołał redaktor, przystępując całkiem blisko do młodego oficera, „jeżeli to prawda, co mi pan powiadasz, mógłbyś pan wyświadczyć sprawiedliwości ogromną przysługę, jeżeli byś pan był gotów podać władzy szlaki, za któremi napróżno szuka.

Mordercy adwokata Blacka są znani, — to jest władza wie ich nazwiska. Jeden z nich ma być niejaki Morizano, który tu w Londynie miał zakład dla warjatów i prowadził go pod każdym względem niżej krytyki, a drugi niejaki Alfred Robber, wyrafinowany opryszek, na którego już dawno czeka szubienica. Może zauważył pan farbę włosów dotyczącego, który rozmawiał z baronetem Ralfem Ravingtonem?"

„Miał rude włosy," odpowiedział Marceli Remy z pewnością i przekonaniem.

„Ha, to on, to ten ptaszek!" zawołał redaktor, zacierając sobie ręce, „to był Alfred Robber. Rude włosy są jako szczególny znak w jego rysopisie."

„Ja wiem jeszcze coś więcej," odezwał się Marceli Remy. „Ralf Ravington wyznaczył temu swojemu tajemnemu powiernikowi czy wspólnikowi spotkanie. Jutro wieczór o siódmej ma wejść do jego domu przez furtkę od ogrodu, aby go nikt nie ujrzał. To słyszałem wyraźnie."

„Bardzo ważne, bardzo ważne," wołał redaktor, zacierając ręce, „bardzo panu jestem wdzięczny, że mi pan udziela tych wiadomości. To będzie pyszny połów, „Daily" doniesie naturalnie o tem najpierwsza i pozyska tysiące nowych abonentów.

„W nagrodę za to," ciągnął dalej redaktor, „wyjawię panu żądaną tajemnicę, że Elżbieta Ravington mieszka w domu zamordowanego adwokata Blacka."

„Dziękuję panu za tę wiadomość," zawołał Marceli Remy, „ach, pan nawet nie przeczuwasz, jaką mi pan przysługę wyświadczasz. Natychmiast udam się do Elżbiety Ravington, — wyszukam ją, aby ją ostrzec. Bez wątpienia i jej życie zagrożone — to dowodzi już ta schadzka nocna baroneta z rudowłosym bandytą."

Marceli Remy pożegnał się natychmiast z redaktorem, w minutę był już na ulicy. Nie mógł opanować swego wzruszenia, miał więc zobaczyć się z swoją ukochaną dziewczyną, miał ją znowu przycisnąć do serca i bronić własną piersią przed grożącem niebezpieczeństwem.

Niedługo przystanął przed budynkiem, którego właściciel zginął w tak tragiczny sposób.

Marceli zdziwił się, gdy zobaczył jeszcze światło w oknach. — A więc mieszkańcy domu Blacka czuwali jeszcze prawdopodobnie.

Bez namysłu pociągnął za dzwonek. Pani Field zjawiła się w drzwiach, pytając się, czego sobie życzy.

„Proszę otworzyć," odpowiedział Marceli Remy. — „Chciałbym rozmówić się z Elżbietą Ravington."

„Proszę poczekać," odpowiedział głos z wewnątrz.

W pracowni Blacka, w pokoju, w którym adwokat nie raz łamał sobie głowę nad prawnemi zagadnieniami, siedziały trzy osoby przy stole.

Był to hrabia Zygmunt Sokolski, Elżbieta Ravington i Maud, biedna sierota po zmarłym adwokacie. Lampa oświecała wszystkie trzy zamyślone oblicza, widocznie omawiali żywo jakąś ważną sprawę.

Naradzali się, w jaki sposób schwycić sprawców morderstwa adwokata Blacka, w jaki sposób zwłaszcza tego, który był tajemną sprężyną i powodem tego zabójstwa, wydać w ręce władzy.

Szanse jak dotychczas były małe, bo pomimo starannych poszukiwań nieudało się jeszcze policji odnaleźć tropu obu złoczyńców, Alfreda Robbera i Morizano.

„Przepraszam bardzo," zabrzmiał głos pani Field, „właśnie pociągnął ktoś za dzwonek. Gdym wyszła i popatrzyła przez kratkę drzwi, stał u progu jakiś młody mężczyzna w długim płaszczu. Mój Boże, może to także jaki zbrodniarz!"

„Zaraz się mu przypatrzę," zawołał Zygmunt i podążył spiesznie do drzwi. Pani Field pospieszyła za nim, niosąc w ręku lampę.

Zygmunt odsunął zasuwkę i otworzył drzwi.

„Kto pan jesteś"? zapytał, oglądając nieznajomego od stóp do głowy.

„Proszę bardzo wpuścić mnie do środka," odrzekł Marceli Remy, „potem się przedstawię, kim jestem. Zaręczam, że jestem prawym, porządnym mężem i że ważne wiadomości przynoszę do tego domu."

„Proszę wejść!" zawołał Zygmunt bez wahania.

Przeczuł instynktowo, że ma do czynienia z jakimś zacnym człowiekiem. Nieznajomy wszedł do sieni, poczem wyrzekł:

„Moje nazwisko Marceli Remy, jestem porucznikiem pierwszej klasy marynarki, przybyłem tu, aby porozmawiać z panną Elżbietą Ravington.

„Co — lady jest pańską znajomą?"

„Jestem jej narzeczonym," odpowiedział Remy z dumą.

„Narzeczonym?" zawołał hrabia w zdziwieniu. „Nie wiedziałem o tem, że lady Ravington ma narzeczonego. — Moje nazwisko hrabia Zygmunt Sokolski."

„Co słyszę? — Hrabia Zygmunt Sokolski? Czyż to możliwe? Pan jesteś przyjacielem hrabiego Kazimierza Zamskiego?"

„Ach, pan znasz hrabiego Kazimierza Zamskiego?"

„Śmiem się nazwać jego przyjacielem. Jestem tym, który był z nami razem aż do ostatnich chwil jego tajemniczego zniknięcia."

„Tak? pana nazwisko Marceli Remy?" zawołał Zygmunt z zainteresowaniem. „Aha, teraz sobie przypominam, że słyszałem już to nazwisko z ust Kazimierza. — Pan byłeś jego sekundantem w tym dziwnym pojedynku, w jaki go wplątali tutaj w Londynie. Ha, teraz wiem, z kim mam do czynienia, proszę mi podać rękę, — oto moja prawica."

Zygmunt podszedł pod drzwi pracowni, otworzył je po cichu i odezwał się:

„Lady Elżbieto Ravington, — tu stoi jeden pan, — który ma prawo o każdej godzinie być do pani przypuszczonym, przeto wpuściłem go do środka pomimo późnej nocy."

Elżbieta podniosła się z krzesła i podeszła ku drzwiom. Nagle stanęła, — podniosła obie ręce do góry, — okrzyk wyrwał się jej z ust, — w następnej chwili uczyniła kilka chwiejnych kroków ku młodemu mężczyźnie.

„Marceli, — mój Marceli!"

To było wszystko, co była w stanie zawołać.

„Elżbieto!" zawołał młody mężczyzna, drżąc od wzruszenia, „och, ty moje drogie, słodkie dziewczę! — Wreszcie, — wreszcie znajduję cię znowu!"

Przy tych słowach schwycił ją Marceli za obie ręce i przyciągnął tuż do siebie. Oparła drżącą od wzruszenia główkę na jego ramieniu, spoglądając mu w twarz oczyma, w których się całe szczęście obecnej chwili odzwierciadlało.

Teraz dopiero odczuła, jak gorąco, jak stale kocha Marcelego, przyszła do przekonania, że cała ta jej miłość z Kazimierzem Zamskim była tylko chwilą szału, — przelotnego uczucia. Postanowiła sobie mocno nagrodzić ten

chwilowy błąd całem życiem pełnem wiary i bezinteresownej miłości.

Zygmunt i Maud cofnęli się do framugi u okna. — Wrodzona delikatność dała im do zrozumienia, że są zbędnymi świadkami.

Po błogiej chwili, która niejedno tym biednym dwojga odszkodowała i naprawiła wiele żalów i bólu, schwyciła Elżbieta Marcelego za rękę i prowadząc go na środek pokoju, zawołała:

„Hrabio Zygmuncie Sokolski i Maud, — pozwólcie, że państwu przedstawię mego narzeczonego, wybranka mego serca. Marceli, uściśnij rękę tego pana, on był nam w ostatnich dniach naszym ojcowskim przyjacielem. A ta, ładna, biedna panienka, stojąca obok niego, stała mi się drogą, jakby rodzona siostra!"

„Tak, sami dobrzy przyjaciele?" zawołał Marceli Remy, „więc mogę śmiało i otwarcie mówić. Przyszedłem tutaj nietylko, by cię odnaleźć, moja droga Elżbieto, lecz także dlatego, aby cię ostrzec przed groźnem niebezpieczeństwem. Ten sam łotr, który zamordował pana adwokata Blacka, chce ciebie także zgładzić ze świata, boś mu stanęła w drodze, — wpoprzek jego zamiarów i chęci bogactwa."

„Pan mówi o mordercy mego ojca?" zawołała Maud, przystępując blisko młodego oficera. „Och, proszę bardzo, proszę wymienić nazwisko tego podłego bezecnika, który dał polecenie do tego morderstwa!"

„Niestety," odpowiedział Remy, „przyrzeczeniem jestem związany i nie śmiem jeszcze wyjawić tej tajemnicy. To tylko mogę pani przyrzec, że jutro o tym czasie dwaj złoczyńcy jakoteż ich zbójecki wspólnik, który im to zabójstwo polecił, będą w kazamacie na podwójny zamek zamknięci."

CXCIII.

Obowiązek synowski

W małym domu jednej z licznych gęsto zaludnionych dzielnic Londynu wyglądała z okna bardzo starannie i ładnie urządzonego pokoiku, młoda, piękna niewiasta, po której można było poznać, że troski nie ugniatają tego świeżego oblicza, — że się czuje szczęśliwą.

To zadowolenie wyczytałby każdy na pierwsze wejrzenie z jej niebieskich oczu, które tak poważnie i wesoło umiały się śmiać, że małe ponętne dołeczki na różowych policzkach ani rusz nie chciały się schować.

Każdy oddech, który poruszał ładnie ukształtowane piersi młodej kobietki, zdawał się tchnąć spokojem, zadowoleniem i szczęściem.

Słońce właśnie miało się ku zachodowi. Ostatnie jasno czerwone promienie spływały z ukosa na mały ogródek przed domem, okraszając ostatnie już widocznie białe astry, kwitnące jeszcze przed oknami.

Młoda kobieta, która spokojnie stała dotychczas u okna, otworzyła je, wyglądając na ulicę, jakby oczekując jakiejś ukochanej osoby.

„Pani doktorowa", zabrzmiał za nią jakiś żeński głos i mała przysadzista służąca zjawiła się w drzwiach od pokoju. „Czy mam już przygotować kolację, to już szósta, a pana doktora nie widać jeszcze."

„Ani myśli!" zawołała młoda pani, „ile razy mam ci powtarzać, że nie jem nigdy bez mego męża! Ale on musi zaraz przyjść. Dlatego wyglądam przez okno, bo wiem, że go muszę wkrótce zobaczyć!"

W tej chwili dał się słyszeć dzwonek u drzwi wchodzących. Służąca zawołała z radością:

„To już nasz pan!"

„Tak, to on," potwierdziła młoda mężatka, poznając go już po dzwonieniu."

Ze zręcznością wiewiórki dopadła przed grubą służącą do drzwi, otwierając je szybko.

Jakiś rosły mężczyzna o pełnym blond zaroście i sympatycznej twarzy wyciągnął ramiona i obejmując młodą kobiecinę przycisnął ją do piersi.

„Jużeś pewnie była niespokojną, kochana duszko," zawołał, gładząc jasne włosy na czole młodej kobiety, „niestety, nie mogłem pierwej wrócić. Pacjenci nie chcieli mnie wypuścić."

„Ach, ty okrutniku," odezwała się młoda mężatka, ciągnąc swego męża do środka, „o mnie to zawsze na końcu myślisz."

„A cóż, mam biednych słabych opuszczać, albo kazać im czekać?" spytał lekarz, „albo mam może któremu z nich powiedzieć, zaczekaj, ja przyjdę później, teraz muszę wrócić do mojej żonki, bo ona biedactwo się nudzi. Acha, już robisz minkę, widzisz sama, że to by było nie pięknie z mojej strony."

„Ja wiem, że ty kochasz swoich słabych i jestem nawet z tego dumną. Dlatego sobie ciebie tak wyrywają i dlatego masz taką dobrą praktykę."

Weszli do jasno oświeconego pokoju na pierwszem piętrze. W środku stał stół jadalny nakryty obrusem śnieżnej białości.

Młode małżeństwo usiadło na krzesłach koło stołu. Służąca na skinienie pani poczęła wnosić potrawy.

„A przez kogoż wróciłem z Ameryki znowu do Europy?" pytał młody lekarz, śmiejąc się figlarnie, „któż to ciągle powtarzał, że w Ameryce ludzie nie umieją czuć, że tam obco i nieswojsko, któż to mnie namówił i nakłonił do powrotu do Europy, czy to nie była czasem niejaka Maryla?"

„W Europie jesteśmy", zawołała Marja, „tylko nie w kraju."

„Wiesz przecież, co mnie spowodowało, żem do kraju nie wrócił", odpowiedział młody lekarz z pewnym smutkiem w głosie, łapiąc rękę Marji i przyciągając młodą, ładną kobietkę bliżej siebie. „Wiesz dobrze, że straszne wspomnienia pozostały mi z kraju, których nie chciałbym za żadną cenę odświeżać. Dlatego wolałem się tu osiedlić w Anglji, gdzie przynajmniej pewien jestem, że nie spotkam się z tym, który mianuje się moim ojcem".

Doktor Haler, bo on to był w rzeczywistości, usiadłszy tuż przy boku swojej ukochanej Marylki, spuścił głowę na piersi. Brwi zmarszczone zdradzały, jaki smutek wywołuje to wspomnienie w piersi jego.

Maryla zarzuciła mu swoje pełne, mięciutkie ramiona na szyję i całowała go w usta i policzki.

„Przebacz mi," szeptała, „żem ci znowu przypomniała kraj rodzinny. Masz słuszność, kochanie, że nie możemy tam wracać, bo tam musiałbyś się nieustannie obawiać spotkania się z tym strasznym człowiekiem, lub usłyszenia o jego niecnych sprawkach."

„Zresztą, czyż to nie wszystko jedno, gdzie żyjemy?" odezwał się Haler, „kiedy tylko się kochamy i możemy być razem?"

„Naturalnie, powinieneś mnie zburczeć jak głupie dziecko. Ale więcej nie naprowadzę cię na te myśli. Nieprawdaż, Henryku, ty mi przebaczysz?"

„Czegobym ja ci nie przebaczył, kochana żonko?" zawołał Haler już weselszym głosem, oddając z procentem pocałunki swej małżonce. „Jak powiadam, wszędzie powinno nam być znośnie, gdzie możemy sobie gniazdko usłać i żyć w miłości i złączeniu obopólnem. A tutaj nie możemy narzekać na nasz los. Ojciec twój umarł tak nagle w Ameryce, więc musieliśmy opuścić ten kraj, bracia twoi także nie mogli nas tam zatrzymać. Jeden z nich stał się dziwakiem odosobnionym, bo nie może zapomnieć tej kobiety, którą napotkał raz na drodze życia, z drugim żyliśmy i tak bardzo mało, więc postanowiłem sobie zastąpić ci ojca i braci swoją osobą, o ile będę w stanie."

„I to ci się udało w zupełności," zawołała Maryla, rzucając pełne wdzięczności spojrzenie na swego męża.

Dziewczyna wstąpiła do pokoju, niosąc pieczeń na półmisku.

„Panie doktorze," odezwała się, stawiając półmisek na stole i szarpiąc się z wyrazem frasunku za fartuch, „on znowu tutaj jest."

„On, co za on?"

„No ten sam, który tu już był trzy razy i pytał za panem doktorem."

„Słaby?"

„Na słabego nie wygląda," odpowiedziała służąca, „ale ja myślę, że on chce pana doktora poprosić do jakiegoś chorego."

„Tak? W takim razie muszę się zaraz z tym człowiekiem rozmówić," zawołał doktor gorączkowo, „może to jakiś pilny wypadek, gdzie zwłoka niedozwolona."

„Dzisiaj wieczór przecież nie będziesz jeszcze ordynował, Henryku," zawołała żona z lekkiem wyrzutem.

„Drogie dziecko, jak mnie zawołają, muszę stanąć o każdej porze, to obowiązek lekarski ratować chorego, choćby i w nocy."

„Zjedz przynajmniej bodaj parę kąsków, ten człowiek może poczekać," prosiła żona.

„Ale chory nie może czekać!" zauważył Henryk Haler.

Następnie podążył za służącą do pokoju poczekalnego.

Zobaczył ubogo odzianego mężczyznę, trzymającego czapkę w rękach.

„Czy wy chcieliście się ze mną rozmówić?" spytał doktor Haler nieznajo-

mego, który niebardzo sympatyczne wrażenie wywarł na nim.

„Tak jest, panie doktorze,“ odparł młody człowiek, którego czarny włos dziwnie jakoś połyskiwał, jak gdyby dopiero co był posmarowany, „chciałem poprosić pana doktora do chorego.“

„Do chorego? Czy ten chory wasz krewny może?“ badał młody lekarz.

„To mój wuj,“ odpowiedział zapytany, „mój poczciwy wujaszek, który nieszczęśliwym trafem pokaleczył się...“

„Kiedy to się stało?“ spytał Henryk Haler.

„Ach, już przed kilkoma dniami. Jeżeli się nie mylę, połamał sobie krzyże. Leży ciągle i stęka i jęczy. Ani raz nie mogę się z nim dogadać.“

„To dopiero teraz przychodzicie do doktora, pomimo, że wuj wasz już przed kilku dniami tak się ciężko pokaleczył. Człowieku, gdzież tu sumienie! To już będzie zapóźno!“

„Kochany panie doktorze,“ odezwał się czarnowłosy, „jak się jest tak ubogim jak my, zwleka się raczej z dnia na dzień tak wielki wydatek na doktora, łudząc się nadzieją, że może się samo polepszy.“

„Dobrze, ja zaraz przyjdę,“ odrzekł stanowczo Henryk Haler, „poczekajcie tutaj przez chwilę. Ubiorę się tylko nieco. — A propos, gdzie mieszka wasz wuj?“

„Niema własnego mieszkania. Mieszkamy w domu, gdzie nam odstąpiono jedną izdebkę tylko, i to na poddaszu.“

„W tym okręgu?“

„Tak jest, panie doktorze, kilka ulic stąd dalej. Ale jeżelibym mógł prosić, proszę bardzo się spieszyć, bo teraz już szósta, a o siódmej mam się stawić na miejscu, gdzie mam dostać robotę. Muszę teraz utrzymać mego starego wuja, więc może sobie pan konsyliarz wyobrazić, że mi bardzo ważne zajęcie w tym czasie i robota.“

„To bardzo ładnie z waszej strony, że się zaopiekowaliście starym, chorym wujem. Ja zaraz tutaj wrócę.“

Z tymi słowami wydalił się z pokoju. Pożegnawszy się z Marylą, wyszedł z nieznajomym na ulicę.

Czarnowłosy prowadził go przez cały szereg ulic i uliczek, wchodząc wreszcie do jakiejś wąziutkiej uliczki i ubogiego domku.

Przeszli przez ciemną długą sień, wreszcie otworzył młody człowiek drzwi, prowadzące na podwórze.

„Tutaj to zabudowanie, a tam to pojedyncze okienko pod dachem to izdebka mego wuja,“ wyrzekł nieznajomy, wskazując palcem na górę.

„Te schody prowadzą na poddasze. Tylko proszę pana doktora uważać, bo one już napół przegniły ze starości.“

Henryk Haler miał jako lekarz dosyć sposobności zapoznać się z nędzą w Londynie, ale to, co tu zobaczył, przechodziło już wszystkie pojęcia.

Izdebka ta nie zasługiwała nawet na nazwisko izby; była to brudna, nędzna dziura, którą naprędce widocznie wybiwszy parę cegieł i wstawiwszy prymitywne okienko na mieszkanie dla ludzi urządzono.

Powała była tak niska, że Henryk nie mógł się nawet wyprostować, ściany były oblepione brudem i kurzem może już kilkoletnim, a urządzenie wewnętrzne równało się zeru, — nie było tam w środku ani stołka, ani łóżka, ani najpotrzebniejszych sprzętów.

Chory leżał na stosie szmat i strzępów w kącie. Henryk Haler nie byłby go zobaczył, tylko jęczenie zdradzało mu jego obecność.

„Przedewszystkiem przynieście światło,“ rozkazał doktor młodemu człowiekowi, który go tutaj przyprowadził, „muszę zbadać najpierw chorego.“

Na te słowa ściągnął siostrzeniec kawałek łojówki z muru i zapalił ją. Świeca poczęła kopcić, lecz innego światła nie było, więc tymczasem musiał się lekarz i tem zadowolić.

Z troskliwością schylił się Henryk Haler nad posłaniem, na którem leżał słaby.

Był to jakiś stary mężczyzna z zupełnie siwą brodą. Oblicze miał żółte jak wosk, oczy napuchnięte mało co widoczne, rysy skrzywione bólem. Kilka zębów brakowało w szeroko otwartych ustach, — widocznie niedawno dopiero je postradał.

„Bliżej ze światłem!“ zawołał lekarz, „nie widzę dostatecznie. Czemu się wzbraniacie światło niżej trzymać, muszę przecież pacjentowi popatrzeć w twarz przedewszystkiem.“

Ciąg dalszy nastąpi.

●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●

3) Jak pisać

Pisanie litery ó nie ma uzasadnienia fonetycznego, lecz jedynie historyczne, to znaczy, że ó występuje w miejscu dawnego o.

W wyrazie piszemy ó, jeżeli w formach tego wyrazu lub w wyrazach pokrewnych ó wymienia się na o lub e, np. sól (soli), dół (dołu), podróż (droga), pióro (pierze), szósty (sześć).
Mimo braku o lub e w wymianie pisze się jednak: skóra, góra, król, późno.

Stale pisze się ó w zakończeniach:
—ów, —ówna, ówka (Lwów, domów, aptekarzówna, placówka — wyjątkowo: zasuwka, skuwka z tego powodu, że u nie należy do przyrostka, lecz do rdzenia (zasuwać, skuwać).

Literę — u piszemy w zakończeniach:
—uję, ujesz, —unek, —unka, un, —ulec (gotuję, rysunek, piastunka, opiekun., budulec).

Ponadto pisze się — u w zakończeniach zdrabniających:
bieluchny, malutki, maluchna, dziadulo, babunia, wianuszek, Hanusia,
i w wyrażeniach pogardliwych:
leniuch, dzikus.

Na początku wyrazów ó trafia się wyjątkowo:
ów, ośmy, ócz (również oczu, oczów), ód (oda), ós (osa).

Są wyrazy, co do których dopuszczalna jest dwojaka pisownia:
bolu — bólu, dwom — dwóm, dzioba — dzióba, kolczyk — kólczyk, kościołek — kościółek, krasomowstwo — krasomówstwo, mowca — mówca, owdzie — ówdzie, rozproszyć — rozprószyć, skroś — skróś, stokrotka — stokrótka, włosie — włósie, wskroś — wskróś, żłobek — żłóbek.

* * *

oa — ua

oa piszemy w sylabach początkowych np. boazerja, toaleta.

ua piszemy w sylabach dalszych: buduar, trotuar.

Wyjątek eksploatacja.

ą — om, on; ę — em, en

W wyrazach rodzimych piszemy: ą, ę, np.: dąb, mącić, gęsto, ręka.

W wyrazach zapożyczonych piszemy zasadniczo: om, on, em, en np.:
kombinacja, konserwa, stempel, kalendarz.

Wyrazy zapożyczone lecz przyswojone mocno piszemy przez ą, ę np.: brąz, ląd, flądra, pąsowy, plądrować, cętka, frędzla, kolęda, pędzel, pręgierz, wędrować.

on, en — piszemy przed przyrostkami — ka, — ko, np.: plecionka, wanienka.

o — e

biorę — bierzesz, gniotę — gnieciesz, niosę — niesiesz, oblokę — obleczesz, piorę — pierzesz, plotę — pleciesz, wiozę — wieziesz, wlokę — wleczesz, zmiotę — zmieciesz.

eja — ea

Poza wyrazami rodzimymi: knieja, nadzieja, zawieja i in. z wyrazów zapożyczonych na — eja kończą się: aleja, epopeja, onomatopeja, prozopopeja (w odmianie — ei, — eją, — ejo, — eją; te — eje, tych ei — ejom, — ejami, w — ejach).

Natomiast na — ea kończą się: farmakopea, gwinea, idea, kamea, orchidea, teodycea (w odmianie — ei, — eą, — eo, — eą; te — ee, — tych — ei, — eom, — eami, w — each).

Imiona własne na — eja, lub — ea odmieniają się tak samo jak wymienione rzeczowniki pospolite, np.: Pompeja, — ei, — eją; Korea, — ei, — eą.

ch — h

Piszemy ch:
a) jeśli w innych formach wyrazu lub w wyrazach pokrewnych odpowiada mu sz, np.:
mucha (musze), suchy (suszyć), duch (dusza);
b) na końcu wyrazów, np.: mech, ruch. Wyjątek: Boh (rzeka), druh.
c) po s, np.: pascha, schemat, Eschyl.

Piszemy h:
a) jeśli w innych formach wyrazu lub wyrazach pokrewnych odpowiada mu g, ż, z lub dz, np.: wahać się (waga, ważyć), druh (drużyna), błahy (błazen), wataha (watadze);
b) na początku wyrazów — w wypadku, gdy h możemy opuścić: harfa (arfa), Hanusia (Anusia), Hindus (Indus);
c) w rozpoczynających wyrazy cząstkach: hiper hipo—, np.: hiperbola, hipoteka....

rz, rż, ż, cz

Kiedy należy pisać rz, a kiedy ż, sprawdzić można przez porównanie danego wyrazu z innymi jego formami lub wyrazami pokrewnymi, o ile w nich zachodzi wymiana rz na r.

Piszemy więc: marzec (marca), pacierz (paciorek);

Piszemy natomiast ż, jeśli zachodzi wymiana na g, dz, h, z lub ź, np.: Boże (Boga), nieniężny (pieniądze), drużyna (druh), wożę (wóz, woźnica).

W niektórych wyrazach piszemy jednak rz mimo braku wymiany na r, np.: murzyn, rzadko, kołnierz, nietoperz; także ż piszemy mimo braku wymiany na inne litery (n. p.: żagiel, sprzedaż, młodzież, odzież.

Stale piszemy rz w zakończeniach:
—arz, — erz (malarz, pasterz),
— mierz, — mistrz (Kazimierz, burmistrz)

Po spółgłoskach: p, b, t, d, k, g, ch, j, w piszemy rz, np.: przyroda, brzeg, trzoda, drzazga, krzak, grzebień, chrzan, ujrzeć, wrzesień.

Wyjątki: pszenica, pszonak, pszczoła, Pszczyna, Pszonka, kształt, kszyk (ptak), bukszpan, gżenie się (gzić się), piegża (ptak), gżegżółka (ptak);

wyrazy z początkowymi cząstkami:
— ob, — od, — pod, n. p.:
obżerać się (żreć), odżałować (żałować) wyjątek — podrzucać (rzut).

wyrazy z końcową cząstką — że, np.:
dajże, także, skądże.

formy stopniowania przymiotników, np.:
głupszy, krótszy.

Litery rż piszemy w wyrazach:
drżeć (drgać), skarżyć (skarga), rżysko — rżany (od reż = żyto);

ponadto: rżnąć (również rznąć), rżeć, dzierżyć, dzierżek, dzierżawa, oberża, sierżant, szarża i pokrewne.

HUMOR

W rozgoryczeniu

— Ostatnie pieniądze, jakie miałem, wydałem na to, aby syn mój mógł ukończyć medycynę i zostać doktorem. Teraz, gdy go wezwałem do siebie, on mi się odwdzięczył w ten sposób, że zakazał mi pić piwo. At! — wdzięczność synowska!

Na lekcji religji

Ksiądz katecheta pyta ucznia, dlaczego Pan Bóg wygnał pierwszych rodziców z raju?

— Bo mu jabłka rwali! — była odpowiedź.

Podczas ćwiczeń

Przy ćwiczeniach kawalerji zawołał kapitan jednego ochotnika:

— Zejdź z konia i przypatrz się jak źle siedzisz na koniu.

W aptece

Do apteki przychodzi młody wieśniak, rozgląda się wokoło i powtarza sam do siebie: „niema".

— Czego niema? — pyta aptekarz. — Tu się wszystko dostanie.

— Wobec tego chciałbym nabyć u pana nowy bat — mówi sprytny wieśniak.

Automobilista

— Pan już jeździ swoim samochodem dwa miesiące, czy panu ktoś powiedział, jak go pan prowadzi?

— Owszem, jeden pan.

— Tak? A co powiedział?

— Czterdzieści złotych kary i koszty za straty.

Po powrocie z letniska.

— Dlaczego w pokoju mego męża panuje taki nieład?

— A bo, proszę pani, nasz pan, kiedy dowiedział się, że pani przyjeżdża, to ze trzy godziny szukał obrączki, którą gdzieś zapodział.

Szczera prawda

— Przyznaj się, Tadziu! Wziąłeś orzechy? Jeżeli powiesz prawdę, tatuś nie powie ci ani słowa!

— Wziąłem tatusiu! A łozbijałem je twoim złotym zegarkiem...

W sądzie

Sędzia: — Czy podsądny był już karany?

— Nigdy?

— Ej, powiedzcie prawdę, bo ja podsądnego skądś znam?

— Nie dziwota. Ja jestem przecie nocny stróż z ulicy pana sędziego i nieraz panu sędziemu, kiedy wstawiony, pomagam nad ranem wejść do domu.

Wystarczy upoważnienie

— Proszę pana, chciałam odebrać tę sumę, którą mąż mój złożył u pana.

— Wiadomo pani, że żona bez asystencji męża...

— Ależ mąż mój nie żyje.

— To też może nie przychodzić, ale niech napisze upoważnienie.

Zapytanie

— Co państwo zazwyczaj piją w domu wieczorem?

— A proszę pana, stale prawie pijemy herbatę z rumem. Moja żona pije herbatę, a ja rum...

Myślał, że preparat na wyłysienie

Podczas uroczystego obiadu, obsługująca gości pokojówka, wylewa jakiemuś łysemu panu trochę sosu na głowę.

Pan ów odwraca się i spokojnie pyta:

— Czy panienka myśli, że to mi pomoże?

Zna się na gościach

— Panie gospodarzu! Gość nie zapłacił i uciekł!

— A co miał?

— Parę kiełbasek i szklankę piwa.

— Tylko tyle? To jakiś uczciwy człowiek!

Odpłacił mu się

Dwaj złodzieje, z których jeden ukradł krowę, a drugi złoty zegarek, siedzieli we więzieniu w jednej celi. Pierwszy, chcąc drugiego podrażnić, zapytał go:

— No, kolego! która godzina na twoim zegarku?

— Mnie się zdaje — odpowiada zagnięty — że już czas doić krowy.

Czarno na białym

Wieśniak, niedawno wypuszczony ze zakładu dla obłąkanych, w sprzeczce ze sąsiadem:

— Co? ja warjat?... ja jeden z całej wsi mam świadectwo, jako jestem zdrowy na umyśle.

W koszarach

Rekrut: — Panie kapitanie, melduję posłusznie, com zgubił bagnet.

Kapitan: — Zamknąć go do kozy i niech w niej tak długo siedzi, aż bagnet znajdzie.

Nasze dzieci

Staś dostał braciszka, który cały dzień wrzeszczy. Zirytowany tem, idzie Staś do matki i pyta:

— Mamusiu, czy to prawda, że Henryś spadł z nieba?

— Tak, moje dziecko!

— No, teraz się nie dziwię, że go aniołowie z tamtąd wyrzucili.

Skrucha

Ciocia. Janku, przeproś braciszka, żeś go nazwał głupim; powiedz, że żałujesz.

Jaś: Żałuję Józiu, żeś głupi.

Podsłuchane

— Dziesięć lat już piję, ażeby zatopić troski i nie topią się.

— Nic dziwnego miały czas nauczyć się pływać.

Prosta odpowiedź

Antek! — woła Bartek z ulicy — co tak siedzisz w oknie za kratą?

— Ano, widzisz bratku dlatego, żebym z okna nie wypadł.

Uspokojenie

— Mamo... jestem przerażona! Przed godziną odmówiłam, Emilowi, który mi się oświadczył. Nieszczęśliwy szybkim krokiem poszedł w stronę stawu. Przewiduję nieszczęście!

— Uspokój się. Widziałem, jak szedł do stawu niosąc... wędkę.

Wcale nie trudno

Pierwsza pani: — Strasznie trudno w obecnych czasach dostać kucharkę.

Druga pani: — Ależ gdzie tam! ja w ubiegłym roku miałam ich przeszło 30.

W szkole

Nauczyciel, tłumaczy uczniowi, co to jest kompas:

— Z przodu masz północ, po prawej ręce wschód, po lewej zachód, a z tyłu co masz?

Uczeń zawstydzony: Łatę na łokciu, mówiłem matce, że pan nauczyciel zaraz ją dojrzy.

Teorja względności.

— Słuchajno, Juleczko, to naprawdę jest za dużo, podobno opowiadasz wszystkim, że jestem tak stara, że mogłabym być twoją matką.

— No moja droga, wyobraź sobie, jacy ludzie są przesadni. Nigdy czegoś podobnego nie mówiłam. Mówiłam tylko, że mogłabym być twoją córką.



— Przepraszam, czy pan jest muzykalny?
— Tak! Ale niech pan nie bisuje...

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę mies. 1,00 zł, kwart. 3,00 zł. Pod opaską mies. zł 1,50, kwart. zł 4,50. Zagranicą zł 1,50 mies. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczanie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA i ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8 P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32

Rękopisów nie zwraca się. Wystarczy adresować: „MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN.

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— zł, 1/2 strony 225,— zł i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 31 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 proc. zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 proc. Ogłoszenia przyjmuje się 10 dni przed datą numeru.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Red. odpow.: Marja Zemmlerówna — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie.